JULIUSZ STARKEL.

Obrazki z Chin

WARSZAWA.
NAKŁADEM ZIARNA

1906

W drukarni Edwarda NICZA i S-ki.

I. Obszar i charakter krajów.

Obszar Chin—licząc w to kraje poboczne, rządzone przez chińskich gubernatorów czy wicekrólów, t. j. Mandżuryę, Mongolię, Sintsiang (wschodni Turkestan i Dżungaryę) wreszcie ziemie Kukunoru i Tybet, obejmuje wedle najnowszych obliczeń 11,138,880 kilometrów kwadratowych, czyli niemal o $1^1/_2$ miliona klm. więcej, niż cała Europa. W porównaniu z największemi mocarstwami Europy, są zatem Chiny 2 razy większe od Rosyi europejskiej, 17 razy od Austro-Węgier, 20 razy od Niemiec, tyleż od Francyi, a blizko 40 razy większe od Włoch.

I nie jest to pustynia, jak w przeważnej części wielkie obszary Rosyi azyatyckiej, ale państwo mocno zaludnione. Ilość mieszkańców jego obliczają na przeszło 330 do 400 milionów. Równa się to niemal czwar-

tej części ludności całej kuli ziemskiej i dorównywa prawie liczbie mieszkańców całej Europy.

Gęstość zaludnienia nie jest wszakże w stosunku do obszaru jednakową. I tak:

1) właściwe Chiny, złożone z 18 tu prowincyj, na obszarze 3,877.000 klm. kw. liczą 319,500.000 mieszkańców.

2) Mandżurya na obszarze 939.280 klm. kw., 5,530.000 m.

3) Mongolia na obszarze 2,787.600 klm. kw., 1,850.000 m.

4) Sin-tsiang na obszarze 1,426.000 klm. kw., 1,000.000 m.

5) Tybet z Kukunorem na obszarze 2,109.000 klm. kw., 2.250.000 mieszkańców.

Kolosalny ten kompleks krajów rozsiadł się od wschodnich wybrzeży Azyi ku jej środkowi. Od północy odcina go potężny Amur z dopływem Ussuri, a ku zachodowi góry Sajańskie i Altajskie od posiadłości rosyjskich, dalsze pasma gór zachodnich tworzą granice od Turkestanu i Pamiru, na południe zaś niebotyczny łańcuch Himalajów odcina go od brytyjskich posiadłości w Indyach wschodnich.

Jeden rzut oka na mapę poucza, że Chiny, rozsiadłszy się pomiędzy 20-tym a 50-tym równoleżnikiem północnej szerokości, mają bardzo rozmaity klimat, warunkowany nadto

wpływami poblizkich mórz i oceanu spokojnego, terenem górzystym na południu i zachodzie, a wielkimi stepami mongolskimi i pustynią Gobi czyli Szamo na północy.

Około $^5/_6$ części obszaru zajmują góry i płaskowyża, nadając Chinom przeważnie górski charakter. Nie rzadkie są góry, wzbijające się ku linii wiecznych śniegów, jak szczyty Pai-Szan (3.300 m.) i Kulu-Szan (2.350 m.) w łańcuchu gór północno-zachodnich, Wu-tai-szan we wschodniej części prowincyi Szan-si, dochodzący do 3.490 m. wysokości, Sung-Szan i Pai-jun szan (2.400 m.) w prowincyi Hanan, jak wreszcie wyżyny i szczyty tybetańskie u źródeł Jang-tse-kiangu, które biją na wysokości 3.000 m. ponad poziomem morza.

Pionowy układ północnych Chin ma swoją osobliwość, nie powtarzającą się nigdzie indziej. Jestto potężna formacya iłu dyluwialnego (Löss) czyli t. zw. gliny mamutowej, która w północnych Chinach tworzy góry i wąwozy szczególnej konstrukcyi. F. bar. Richthofen (*China*, Berlin 1877—1883) jeden z geologów i podróżników, który najdokładniejsze o tych górach podał wiadomości, tak pisze:

„Po całych tygodniach spotyka podróżnik ten sam gatunek gruntu, który geologa doprowadza do rozpaczy. Lecz wynagradza

go za to bogactwem form. Każdy rzut oka w dół, ku labiryntowi dolin, lub z dna wąwozu w górę, przynosi nowe obrazy, dziwaczne lub dzikie.

„Szczególniej charakterystyczne są obrazy na zbiegu licznych wąwozów, gdzie słupy iłu, na wiele set stóp wysokie, tworzą wąwóz, spadający tarasowato i zakończony w górze ostrym grzbietem, rozpadającym się w rodzaj ruin. Występują tu formy zamków, fortec, wałów, baszt, obelisków w najrozmaitszych ugrupowaniach. Innym razem idziemy drogą, werżniętą głęboko między pionowemi ścianami iłu i naraz spostrzegamy z boku otwór, wybity dla odprowadzenia wody deszczowej. Zdawałoby się, że wobec nizkiego położenia drogi między wysokiemi na sto stóp ścianami, jest to robota daremna — a jednak woda odpływa. Otóż spostrzegamy ze zdziwieniem, że jedna ściana iłu jest tylko rodzajem muru ziemnego, a otwór w niej wybity, to okno, przez które możemy zaglądnąć i widzieć, że poza ścianą jest przepaść, w której znowu żółty ił rozpada się na tysiące niedostępnych wąwozów“.

„Gdym przybył w okolicę Ping-yang-fu — pisze ten sam podróżnik — była to posucha, która zasiewy zniszczyła. Ziemia była zatem naga i jednostajnie żółta. Żyzny kiedyindziej kraj leżał przedemną jak pustynia. Zdawało

się, że w przejrzystem, suchem powietrzu, dojrzeć można każdą nierówność gruntu; pomijając więc kilka ziejących w pobliżu parowów, przypuszczałem, że jestto równina, którą można cały pułk jazdy wysłać do ataku. A przecież jest ona tak niedostępną, że i piechur może być stracony, jeśli się nie trzyma udeptanych ścieżek".

Cała ta pozorna równina jest spękana w tysiączne krzyżujące się z sobą rysy i przepaście, tworzące nierozwikłany labirynt głębokich korytarzy. I byłyby one wprost niedostępne, tworząc ściany absolutnie pionowe do jakich 1000 stóp głębokości, gdyby ów ił dyluwialny był w całej swej formacyi jednorodnym. Lecz na szczęście ma on w sobie liczne gruzły marglu, które obsuwając się, tworzą rodzaj terasy, przez co ściana zazwyczaj w ostro odciętych schodach ku dołowi spada. Na schodach tych gruzły marglowe okrywają się rozpulchnioną ziemią i tworzą grunt pod uprawę. To też jeśli spojrzymy z góry na taki taras w czasie urodzajnego lata, to widzimy same zielone pola — patrząc zaś z głębi przepaści, widzimy jedynie nagie, pionowe, żółte zbocza iłu.

Taka struktura wąwozów i znaczna spoistość iłu, sprawiają, że w ścianach jego grzebią ludzie wcale wygodne mieszkania.

„Miliony ludzi w północnych prowincyach Chin — pisze Richthofen — mieszkają w jaskiniach, wygrzebanych w ile na dnie wąwozu lub na wysokości schodów uprawianej terasy. Chińczycy wiedzą z doświadczenia, które odmiany pokładów iłowych mają większą wytrzymałość; wygrzebują tedy w ścianach otwory horyzontalne tej wysokości co drzwi, które do nich wiodą, a rozszerzające się wewnątrz na kilka izb, przegrodzonych murami, które sam ił stanowi. Z pokruszonych gruzłów marglowych wyrabiają rodzaj cementu, którym się wewnętrzne ściany, oraz otwory drzwi i okien wyprawia. Dodaje on spoistości ścianom i chroni od wilgoci".

Są tu mieszkania, które służyły ludziom przez całe stulecia i pokolenia. Szczególniej dużo jest ich na granicach Mongolii. Zdarza się, iż natrafiamy tam na znakomicie uprawne role, wśród których ani jednego domu nie widać. Daremnie zapytuje się człowiek sam siebie, gdzie są ci ludzie, którzy się tu rolnictwem zajmują?

Dopiero, gdy się zwrócimy ku ścianie iłowej, która dolinę zamyka, zostaje zagadka wyjaśnioną. Roi się tu jak w pasiece; z głębi ziemi, z po za żółtych ścian iłu, wychodzą zewsząd ludzie jak pszczoły z ulów. Małe ogrodzenia z surowych cegieł iłowych, su-

szonych na słońcu, opierające się o wielką ścianę iłu, opasują podwórka.

Między temi mieszkaniami jest wiele stopniowań, począwszy od prostej jaskini, aż do istnych pałaców, gdzie spotykamy sklepienia i ozdobne fasady z palonych cegieł. Mieszkania te posiadają wogóle wiele zalet, są w zimie ciepłe, w lecie chłodne, i jeśli je wyżłobiono w odpowiedniej warstwie iłu, bardzo trwałe.

Częstokroć pionową ścianę gliny mamutowej widzimy podziurawioną w połowie swej wysokości na 60 i więcej stóp nad podstawą. Są to szczątki dawnej osady ludzkiej, która tam istniała przed wiekami.

Inny podróżnik, Kreitner *(Im fernen Osten)* porównywa krainę wąwozów iłowych z olbrzymim kręgiem sera szwajcarskiego, pozacinanego pionowo w wielu miejscach. Podobną jest ona i ze swej barwy i z jam do sera. „Cała atmosfera — pisze Kreitner — nad tą krainą gliny napełniona jest żółtym pyłem, przez co słońce wygląda jakby we mgle. Pył ten okrywa wszystko żółtą barwą i roślinom odbiera zieloność, tak, że niwa wiosenna jest niemal tak żółtą, jak u nas rżysko po żniwach". Jeśli do tego dodamy cerę mieszkańców i żółtą barwę wód Hoang-hu, który niezmierne masy gliny mamutowej i piasku ze sobą unosi — to dopiero nabierzemy

właściwego wyobrażenia o tem żółtem państwie, nad którem „syn słońca“ panuje.

Richthofen zwraca także uwagę na wielką ważność strategiczną wąwozów iłowych. Zdaniem jego, ruch wielkich armij w północnych Chinach może się odbywać tylko po drogach, wijących się przez wązkie korytarze iłu, więc obrona niewielu zwężeń w dolinach, nieznacznemi stosunkowo siłami, może wystarczyć do wstrzymania najazdu wielkiej nawet armii. Oczywiście, że tę samą korzyść może odnieść i nieprzyjaciel, któremu się uda ważne przesmyki opanować i ufortyfikować. Na okoliczność tę zwracali zawsze uwagę cesarze chińscy i starali się o obwarowanie ważniejszych punktów strategicznych w dziwacznej krainie dyluwialnych iłów.

Takim jest przeważnie układ pionowy Chin północnych.

Układ pionowy Chin południowych ma znowu tę osobliwość, że łańcuchy górskie nie są tam całkiem w zgodzie z działami wodnymi. Ciągną się one przeważnie w kierunku północno-wschodnim, podczas gdy Jang-tse-kiang i inne rzeki w czysto wschodnim kierunku ku morzu spieszą. Wynikiem tego jest ta okoliczność, że rzeka przeskakuje wyłomami przez łańcuchy górskie i przerzyna je w poprzek, dostając się w co-

raz to inne doliny. To też nagie, skaliste, wysokie brzegi rzek są bardzo zwykłym zjawiskiem.

Tak samo stromem jest także całe wybrzeże Chin południowych od wyspy Hainan aż po Ning-po, podobnie jak skaliste, do 200 stóp wysokie wybrzeża poblizkiej Formozy, która już dziś do Japonii należy.

II. Rzeki i kanały.

Wyjąwszy pustynię Gobbi na północnym wschodzie państwa, obfitują zresztą Chiny w liczne rzeki i kanały, mające wielką doniosłość w ich życiu ekonomicznem.

Oprócz granicznego Amuru i wpadających do niego ku północy rzek pomniejszych, przecinają obszar Chin dwa potężne strumienie: *Hoang-ho,* oddzielający północną część Chin od południowej, a wpadający do zatoki Peczyli po przebyciu drogi około 4150 kilometrów i *Jang-tse-kiang,* który przerżnąwszy południowe Chiny, wpada powyżej Szangaju do morza Chińskiego.

Na południu Chin wpadają do zatoki Kantońskiej trzy strumienie, a mianowicie *Pe-kiang* płynący z północy, *Tunk-kiang,* płynący od wschodu i *Si-kiang* płynący od zachodu. Wszystkie one, zbiegają się pod Kantonem,

tworzą deltę, istną siatką strumieni, i spływają się razem w sławną z mnóstwa opisów *rzekę Perłową*, która poniżej, pomiędzy najdawniejszemi osadami europejskiemi w Chinach, Macao i Hongkong, wlewa się do południowego morza Chińskiego.

Z rzek, przecinających nizinę północnochińską, należy zaznaczyć jeszcze rzekę *Pei-ho* z dopływem *Wei-ho* (pod Tientsinem), która zmierza w kierunku od Pekinu ku zatoce Peczyli, rzekę *Lwan-ho*, wpadającą powyżej na północ do tejże zatoki i znaczną, żeglową rzekę *Liao-ho*, która się wije u podnóża gór, stanowiących granicę flory i fauny Chin, oraz granicę etnograficzną od mongołów i tunguzów.

Hoang-ho, czyli Żółta (hoang), wielka rzeka (ho) nie jest wcale obrazem owego zakrzepłego konserwatyzmu, który chińczykom zarzucają. Owszem, miewała ona i miewa straszne kaprysy zmienności. Wyszedłszy z pełnej wąwozów górskiej krainy Tybetu, płynie ku północy i dostaje się na stepy, które przepływa olbrzymim łukiem ku zachodowi, lecz zatrzymana skrajnym łańcuchem gór pustyni Szamo, rzuca się wprost ku południowi. Na owej północno-zachodniej drodze przecina Hoang-ho rozległe, do 50 m. wysokości spiętrzające się wydmy piasku lotnego, który również jak woda bie-

ży i łożysko rzeki zamula. Rozdzielony na rozliczne ramiona, sunie się więc leniwo przez te piaski, i opłukuje na utworzonych w ten sposób wyspach rzadkie w Chinach leśne ostrowy. W około roztacza się zresztą głuchy step, bezdopływowy kraj jezior słonych i osadów stepowych.

Rzuciwszy się na południe, płynie Hoang-ho znowu krajem górzystym, a przyjąwszy kilka większych dopływów, natrafia w dolinie Hwej-ho na rzekę tej nazwy i złączony z nią płynie w kierunku wschodnim ku morzu. Drogę tę tamuje mu niebawem głęboko w ląd wciskający się, górzysty półwysep Szan-tung, tak, że niedaleko Kai-föng-fu, natrafiwszy na stromą zaporę, ma do wyboru dwie drogi: na południe i na północ. I rzecz szczególna, potężny ów strumień próbował już obu tych dróg, przerzynając się ku morzu.

Najstarsze kroniki chińskie stwierdzają, iż Hoang-ho zwracał się na północny wschód i wpadał do zatoki Pe-czy-li, lecz w w XIII, rzucił się ku południowemu wschodowi i od południowej strony półwyspu Szan-tung uchodził do morza Żółtego. Trwało to przez sześć stuleci, t. j. do roku 1852.

Wskutek wielkiego powstania tajpingów, jakie około r. 1850 wybuchło, zostały zaniedbane liczne tamy i wały, któremi bieg

rzeki w porządku utrzymywano. Skorzystał z tego kapryśny Hoang-ho, zrewolucjonizował się także i przerżnął się znów na północ od półwyspu Szan-tung do zatoki Peczy-li. Lecz zmiana ta nietrwała długo. Z końcem września r. 1887, wezbrany silnie wskutek wielkich ulew, przebija nowe tamy i zwraca się znów ku południowemu wschodowi. Odbyło się to tak nagle, że skutki były przerażające. Zaraz przy pierwszem przerwaniu grobli zginęło 9.000 robotników, liczne miasta i wsie zostały zalane. Około 22.000 klm. kraju zamieszkałego, odznaczającego się znakomitą uprawą ziemi stanęło pod wodą, około półtora miliona ludzi utraciło życie.

Lecz chińczycy są uparci. Wzięli się znów do nawrócenia rzeki ku północy, tej rzeki, którą słusznie „Utrapieniem Chin" nazywają i robota im się udała. Od r. 1889 ściekają wody Hoang-ho znowu do zatoki Pe-czy-li. Gdyby jednak chodziło o to, ażeby umyślnie rzucić wody Żółtej rzeki n. p. na wojska najezdnicze—to liczne zmiany kapryśnej rzeki dowiodły, że byłoby to bardzo łatwem do uskutecznienia.

Mógłby w tem odegrać rolę i wielki „kanał cesarski", olbrzymia droga wodna, dzieło mrówczej pracowitości chińczyków. Rozpoczyna się on od rzeki Pei-ho pod Tien-

tsinem, a biegnąc ku południowi, przecina Hoang-ho poniżej Tung-szangu, mija Nanking, przecina Jang-tse-kiang i kończy się w Hang-czou, zatoce morza Chińskiego,

Nie wiadomo, skąd się wzięła nazwa „Kanału cesarskiego“ u europejczyków; chyba dlatego, że jest on stopniowo dokonywanem dziełem kilku cesarzy chińskich. Chińczycy sami zwą go Yun-ho, t. j. rzeką dla transportów, czem jest na wielką skalę, a zmieniają czasem tę nazwę na Yun-liang-ho t. j. rzekę dla transportów trybutowych, gdyż po dziśdzień, jak przed wiekami, transportują na niej olbrzymie wysyłki trybutowego ryżu, przeznaczonego głównie dla wyżywienia wojska.

Długość kanału cesarskiego przechodzi 1700 kilometrów a średnia szerokość wynosi około 50 metrów. Lecz nie jest to właściwie sztucznie kopana droga wodna, co popolicie przez kanał rozumiemy. Budując ją, łączono głównie różne rzeki i dopływy rzek większych, korzystano z jezior i dolin, co pracę ułatwiało, lecz oddało zato kanał pod wpływy wielkich strumieni, które przecięto, i zmienne wywołuje nim prądy. Tak np. w pierwszej połowie XIX wieku górowały w kanale cesarskim wody Jang-tse-kiangu i nadawały mu prąd ku północy. Gdy jednakże około r. 1850 spodobało się Żółtej

rzece zmienić swój bieg do morza, zmienił się także stan wód i prąd ich w kanale. Nie wystarczyły już kamienne brzegi kanału. Aby go ochronić od gwałtownych wylewów ze zroszonej obfitemi wodami niziny Hiaho, która jednakże ponad zwykłe zwierciadło wód w kanale jest wzniesiona, musiano dawać od zachodu wały wysokie na 6 do 8 metrów. Przy tej sposobności porobiono liczne śluzy i spusty, które umożliwiają nawzajem nawadnianie gruntów urodzajnych niziny Hiaho, gdy woda w kanale, pod wpływem oddziaływającej tu nań rzeki Hoai-ho i jeziora Hung-tse się spiętrzy.

Liczne śluzy, znaczne nieraz różnice zwierciadła wody, potrzeba holowania statków z brzegu w niektórych miejscach, nawet trafiający się chwilami brak wody i konieczność czekania na nią po kilka tygodni w jednem miejscu—wszystko to utrudnia ruch na kanale. Jakkolwiekbądź, jest to przecie imponujące i dla handlu niesłychanie ważne połączenie południowych Chin z północnemi.

Potężne wody Żółtej rzeki przyczyniają się w niemałym stopniu do użyźniania nizin chińskich i stałego ich podnoszenia. Roztworzona na powietrzu glina mamutowa, która jest sama przez się przepuszczalną, bo zawiera w sobie wiele piasku drobnoziarnistego, daje orną glebę wybornej jakości. Gle-

bą taką odznacza się najżyzniejsza nizina Chin, ogarniająca sobą i dawną deltę Hoang-ho. Nizina ta rozciąga się poniżej Pekinu i Jung-ping-fu ponad morze, okalające górski półwysep Szan-tung, ku południowi, aż po za Jang-tse-kiang, gdzie się dwoma pasmami ku jeziorom Tung-ting i Po-jang rozchodzi. Obejmuje ona przeszło 445.000 klm. kw. I tutaj żółta barwa glin roztworzonych jest główną barwą gleby, tak, że ją niektórzy żółtą niziną nazywają. Stanowi ona przejście od Chin północnych do Chin południowych.

Lecz nietylko działaniu rzek i wód w ogóle należy przypisać potężne rozszerzenie się rodzajnej gliny mamutowej. Rola wiatrów jest w tem również ważna, a nawet geologicznie wielka. Jeszcze dziś unoszą się przy lada jakim wietrze w północnych Chinach tumany suchej glinki z piaskiem, okrywając wszystko żółtawym pyłem. Otóż trzeba sobie wyobrazić działanie to przy wściekłych wichrach stepowych przez długie lat tysiące, a wtedy dopiero zrozumiemy rozszerzenie rodzajnej gleby chińczyka, która gdzieniegdzie na głębokość dwóch lub trzech tysięcy metrów zasypała przepastne doliny, a gdzieindziej zaledwo kilkometrową grubością oparła się o zbocza gór. Tu i tam niema geologicznej łączności między nią a formacyą

spodnią — wszystko to materyał obcy, naniesiony ze zwietrzałych skał i nagich, olbrzymich pustyń.

W dolinie Jang-tse-kiangu nie przeważa już żółta barwa gleby, inne bowiem są tu jej składniki. Góry Chin południowych są całkiem odmienne. Składają się one z gnejzu mikowego, z pierwotnych wapieni, z syluryjskich i dewońskich łupków i piaskowców, dalej z wapieni formacyi węglowej, na których leżą utwory jurajskie i czerwone, gliniaste piaskowce, wieńczące szczyty gór poszarpanemi turniami. Stoczone ze szczytów, wypełniają one częstokroć kotliny między góramy i są dla pionowego układu Chin południowych charakterystycznemi.

Jedna z takich wielkich kotlin, znana ze swej żyzności w prowincyi Sze-czuan, nosi nazwę kotliny Czerwonej. I inne kotliny napływowe Chin południowych, gęsto zaludnione i bardzo żyzne, mają wielkie znaczenie dla rolnictwa.

III. Klimat, — rośliny i zwierzęta.

Już sama rozległość przeszło trzydziestu stopni szerokości geograficznej sprawia, że klimaty północnych Chin, a południowych są całkiem odmienne. Z głębokiego zaś

wsunięcia się cesarstwa chińskiego ku środkowi Azyi wynika, że jest to przeważnie klimat kontynentalny z gorącemi latami i ostremi zimami, zależnemi znów w swem stopniowaniu od tego, czy to są położenia górskie czy nizinne. Na wybrzeżach morskich jest ten klimat oceanicznie złagodzony, mniej jednak niż np. Japonii, będącej pod bezpośrednim wpływem Wielkiego oceanu.

Miarę różnicy między północną a południową częścią Chin daje nam temperatura Pekinu i Kantonu. W Pekinie średnia temperatura wynosi 11·6^0 C., średnia zimy — 4·2^0, średnia lata + 25·4^0 C. Kanton natomiast ma średnią temperaturę 21·2^0 C., najwyższą w lecie + 34·3^0 C., najniższą w porze deszczowej + 15^0 C.

W północnych Chinach zamarza w zimie kanał cesarski zupełnie, a w okolicach twierdzy Taku, u ujścia rzeki Pei-ho, zamarzają i wody zatoki dość daleko. W porze zimowej panują tu suche wiatry, w lecie natomiast nierzadkie są ulewne deszcze, wyrządzające znaczne szkody. Z wiosną wiatry, ciągnące od Mongolii i pustyń, niosą nieprzejrzane chmury glinki i piasku.

Najbardziej południowa część Chin należy już do sfery tropikalnej, są tu zatem tylko dwie pory roku, t. j. sucha, od października do kwietnia, w której panują północne zim-

ne monsumy, i pora deszczowa, z panującemi południowo-zachodniemi wiatrami, trwająca od kwietnia do października. Wogóle jednakże Chiny południowe nie są tak ciepłe jak np. leżące pod tą samą szerokością geograficzną kraje Azyi środkowej, Syryi i Afryki północnej. Co do opadów, Pekin ma ich najmniej (60), Szangaj więcej (100), Kanton najwięcej (przeszło 200 cm.).

Charakterystyczną stroną mórz nadbrzeżnych, Żółtego i Chińskiego, są częste cyklony t. j. burze wirowate, t. z. „tajfuny". Trafiają się one szczególniej w miesiącach sierpniu do października, są bardzo groźne dla żeglugi, a zapędzają się nieraz na wybrzeża i w głąb krju.

Tak znaczne różnice klimatu wywołują także wielką odmienność flory i fauny na północy i południu Chin, odbijają się nawet na typach i cerze ludności.

Co do roślinności wypada w Chinach rozróżnić trzy strefy: północno-chińską, południowo-chińską i górską.

Na samej północy, powyżej Korei, jest to strefa mieszanych drzew szpilkowych i liściastych, między któremi występują jako charakterystyczne dla tych krajów, dąb i orzech mandżurski. Bardziej na południe, ponad zatoką Peczyli, rozróżniamy ciągnącą się w głąb ku Tybetowi, strefę cieplejszą lasów szpil-

kowych i liściastych, która jest także północną granicą uprawy wina, kasztana jadalnego, kukurydzy i tytoniu. Tworzy ona przejście do strefy południowej, którą charakteryzują krzewy kameliowe i uprawa herbaty. Srodek państwa ku zachodowi, powyżej średniego biegu Hoang-ho, jest pustynny, stepowy, bezleśny, nie wszędzie uprawie rolnej sprzyjający.

W ogóle Chiny cierpią na brak lasów i straszniejsze z tego powodu bywają skutki, burz, deszczów i wylewów. Wielkie puszcze leśne znajdują się tylko w granicznych pasmach górskich od północy, w prowincyach Ju-nan i Szeczuan i w górach Tybetu, gdzie szczyty, dochodzące do 3.500 m. wysokości, okryte są drzewami szpilkowemi, wiązami i dębami, podczas gdy u stóp ich strzela palma *(Chamaerops excelsa)*, i wiecznie zielenią się krzewy podzwrotnikowe.

Z uprawnych roślin możesz widzieć granaty, brzoskwinie, banany, czereśnie, winogrona, jęczmień, groch, bawełnę, tytoń, buraki, fasolę, cebulę, sałatę i inne warzywa. Podmokłe doliny zarasta trzcina bambusowa, a na uprawnych polach sieją ryż i mak do wyrobu opium.

Pomiędzy drzewami szpilkowemi odznaczają się okazałością *Cunningamia sinensis i Salisburia adiantifolia* ze swymi dzi-

wacznie ukształtowanymi liściami. Całym łanom herbaty towarzyszą prześliczne kamelie i azalie. Flora chińska celuje w ogóle ponad wszystkiemi innemi krajami mnogością pięknie kwitnących krzewów.

Znamiennemi dla Chin, a troskliwie sadzonemi drzewami są: biała morwa, której liście służą do żywienia gąsiennic jedwabniczych, morwa papierowa *(Broussonetia papyrifera)* dla wyrobu papieru, drzewo woskowe *(Stilingia sebifera),* dające wosk roślinny i *Rhus succedanea,* dostarczająca materyału dla znakomitych lakierów chińskich. Trzcina cukrowa, indygo, drzewo kamforowe, rozmaite gatunki drzew cytrynowych i pomarańczowych, imbier, gwajawy *(Psidium)* ze smacznemi owocami w kształcie gruszek i jabłek. ginseng *(Aralia edulis)*, której korzenie i młode pędy spożywane są na jarzynę, i znana z naszych oranżeryi *Aralia papyrifera,* z której wyrabiają sławny papier chiński, t. zw. ryżowy — oto reszta najważniejszych krzewów i drzew, które się na florę chińską składają.

Podróżnicy uważają słusznie, że w kraju, który posiada tak wysoką kulturę rolniczą i ogrodniczą, jak Chiny, pejzaż zależy przeważnie od tej kultury. I tak n. p. Bettschneider (w Petermana *Georg Mitthtg.*) daje nam taki obrazek z równiny pekińskiej:

„Między drzewami, uprawianemi koło klasztorów buddyjskich, góruje przedewszystkiem sosna o białej korze *(Pinus bungeana)* i pokrewna jej sosna gałęzista *(Pinus massoniania)*. Innem uświęconem drzewem buddystów północno-chińskich jest kasztan chiński *(Aesculus chinensis)*, wspaniała cienista *Salisburia adiantifolia i Sophora japonica*, ocieniająca często chińskie świątynie.

„Oko jadącego w sierpniu przez równinę pekińską uderzają mile piękne łany sorgo (rodzaj prosa), które szczególnie po deszczach bujnie wyglądają, bardziej do zarośli niż do pól zbożowych podobne, gdyż roślina ta, przypominająca swym układem trzcinę cukrową, dosięga 12 i więcej stóp wysokości. Znaczne obszary zajmuje też uprawa batatów, które choć dopiero z początkiem XIX. stulecia zostały do Chin sprowadzone, są już jednak ważnym artykułem pożwienia ludu chińskiego“.

Głównemi rodzajami zbóż, będących podstawą żywności Chińczyka, są; ryż, pszenica, proso (sorgo), gaolian i kukurydza. Uprawa tych rolin występuje w całej swej potędze, głównie na wielkiej nizinie chińskiej na południe od Pekinu. Na niej tu łączą się do pewnego stopnia kultury rolnicze Chin północnych i południowych. I tak: uprawa bawełny, właściwa Chinom północnym, wkra-

cza przez nią nad brzegi Jang-tse-kiangu, podczas gdy uprawa ryżu i herbaty, znamionującą kulturę Chin południowych, wciska się się tędy aż do Szantungu i doliny Hwai-ho.

Północna część wielkiej niziny ma charakter parkowy. Prócz gęstych zarośli bambusowych, dających całym Chinom tak ważny materyał budulcowy i konstrukcyjny do tysiącznych wyrobów, widać tu liczne grupy cyprysów cmentarnych, sady drzew owocowych i ozdobnych, przy których tulą się wsie. Między temi grupami drzew ciągną się pola z najstaranniejszą ogrodową uprawą, a całą nizinę przerzynają liczne strumienie prowadzone i ujmowane sztucznie w karby, w celach nawodnienia.

Pustką świecą tylko wielkie obszary Gobi czyli Szamo. Na wschodnich jej brzegach są jeszcze dość żyzne stepy, w częściach zaś przeciętych rzekami i potokami rosną licznie topole i wierzby; od miejsca do miejsca, gdzie woda gruntowa jest tuż pod piaskiem zielenią się oazy, umożliwiające życie koczownicze w tych pustkach. Oprócz tego na gołych piaskach ścielą się znamienne dla słonych pustyń, chude rośliny solne *(Salsolaceae)* i charakterystyczny dla pustyni Gobi, kolczaty, do kilku stóp wyrastający krzew (*Agriophyllum gobicum),* którego drobne

ziarna są dla koczowniczych plemion surogatem zboża. Zresztą rozpędza tu wicher lotne piaski, w których świecą się odłamki krzemienia i kwarcu, występują na jaw gruzły achatu, jaspisu i chalcedonu.

Równie ponuremi, w porównaniu z żyznemi dolinami właściwych Chin, są płaskowyża Tybetu. Klimat tu surowy, suchy. Ilość roczna opadów wynosi przeciętnie około 20 cm. Zmiany temperatury pomiędzy upałami lata a mrozami zimy, nawet różnice między temperaturą dnia a nocy — są bardzo znaczne. Szczególniej burzliwe bywają wiosny, lato chmurne, najpiękniejsza jesień. Często zrywają się gwałtowne wichry północne i północno-wschodnie, niosące z sobą tumany pyłu.

Nadzwyczaj smutnemi są całe, milami się ciągnące obszary suchych gruzów skalnych, między któremi i trawki nie widać. Nawet w zimie rzadko je skąpy śnieg okrywa. Oko nie spoczywa na ciemnozielonych liniach lasów. Natomiast tam, gdzie nieco wilgotniej, szczególniej we wschodnim i wschodnio-południowym Tybecie, gdzie częściej przepadają deszcze, rzuca się trawa stepowa, rosną wysokie bylice, traganki *(Astragalus)*, mączyńce *(Chenopodium)*, dzikie czosnki, karłowate szpilkowce, jałowce, a gdzie podmokłe miejsce, trzcina, sitowie, piołun i pokrzy-

wy. Ponury górski kraj i lud. W górach poniżej 3.300 m. rosną wierzby, topole, tamaryszki. We wschodniej części, nad łożyskami potoków, roślinność ta jest znacznie bujniejsza, całemi lasami rzuca się brzoza i osika, bujniejsze są jałowce, i kwiaty przezierają z pośród zielonych traw.

Podobnie jak świat roślinny, tak i świat zwierzęcy Chin obejmuje w szczególny sposób zarówno wschodnio-indyjskie jak i sybirsko-europejskie zwierzęta. Oczywiście, że pierwsze górują na południu, drugie na północy Chin, mieszają się jednak do pewnego stopnia na granicy obu stref.

Na wyspie Hai-nan i w najbardziej południowych prowincyach, jak Kwang-si, Kwangtung i Fukien, spotyka się małpy *(Rhinopithecus)*, słonia, nosorożca, panterę, kilka gatunków zwierząt łaszowatych, kalongi, lemury, łuskowce *(Manis)* i dzikie pawie, podobnie jak w Indyach wschodnich. Lecz w Tybecie wschodnim, górzystym i lesistym, zmienia się już obraz fauny. Znajdujemy tu niedźwiedzia tybetańskiego *(Ursus torquatus)* o charakterystycznym białym kołnierzu, zamieszkującego także Himalaje — wilka tybetańskiego (odmiana, *Lupus laniger)* — szopa pracza — brodatego, potwornego przeżuwacza jaka, który się na stepowych płaskowzgórzach, na wysokości 4.000 m. ca-

łemi stadami chowa — antylopę sajga — dzikie owce argali — zgrabnego piżmowca — sybirskie szczekuszki *(Lagomys alpinus)*, zastępujące na tych wysokościach zająca, nakoniec liczne gryzonie, tak charakterystyczne dla suchych stepowych okolic, jak świstaki, chomiki i inne. Do tej fauny należy także, tylko we wschodnim Tybecie dotąd widziany, gatunek niedźwiedzia, *(Ailuropus melanoleucus)*, mniejszy od naszego niedźwiedzia, następujący nie całą stopą, z szerokim bardzo łbem, o kudłach całkiem białych, z wyjątkiem uszu, łap i końca ogona, które są czarne. Jest on roślinożernym i niszczy bambusowe zarośla, szukając korzeni.

W powietrzu unoszą się sępy, przelatują kruki, na skalistych zboczach żerują kuropatwy, kamionki, na zapadłych błotach żórawie, rozmaite czaple, kszyki, dubelty i inne błotne i wodne ptactwo.

Innych znowu typów dostarczają stepy i oazy wśród pustyń piaszczystych Szamo i Ordo. Ptakiem szczególnym, łączącym w sobie kształty kuraka i gołębia, jest tu pustynnik *(Syrrhaptes paradoxus)*, mieszkaniec wszystkich piaszczystych pustyń środkowej Azyi, który się niekiedy i do nas zapuszcza. Pomiędzy ssakami zaś znamienny jest „dżigetaj“ mongołów, pół osła a pół konia, dzi-

ki, w stadach uganiający tabun, którego w Tybecie „kiangem“ zowią. Włóczą się tu wilki, rysie, myszkują lisy, wywodzą się zające, a w żyznych zalesionych pasach nad rzekami, także dzik i jeleń.

Wśród tego wszystkiego — i na południu i na północy, aż po Amur — przemyka się krwiożerczy zbójca — tygrys, znoszący tutaj bardzo znaczne różnice klimatu i tworzący dwie odmiany, indyjską i sybirską.

Na żyznych obszarach, gdzie się zbiegają Chiny północne z południowemi, szczególniej pomiędzy rzekami Hoang-ho a Jang-tse-kiangiem, rozgospodarowało się wdzięczne, krasnopióre i czysto chińskie ptactwo — bażanty, żyjące dziko i będące przedmiotem kultury.

Rzeki, jeziora i wybrzeża morskie obfitują w rozmaite ryby, tak, że rybołówstwo należy uważać za jedno z bardzo ważnych zajęć chińczyka, a że się oddawna i sztuczną kulturą ryb zajmuje, dowodzą rozmaite złote rybki, których ojczyzną są Chiny.

Oryginalną bardzo rybą, którą poławiają w Jang-tse-kiangu, jest pewien gatunek jesiotra *(Polyodon)*, nie mający—rzecz szczególna — nigdzie bliżej pokrewnego gatunku, aż w północnej Ameryce, w Missisipi.

Ptactwa wodnego, kaczek, gęsi, łabędzi, pelikanów i rozmaitych brodźców przebywa dużo na jeziorach i rzekach, a ciekawem jest

uławskawianie kormoranów i używanie ich do rybołówstwa.

Między gadami zajmuje wybitne miejsce właściwa Chinom i Japonii wielka salamandra (*Cryptobranchus japonicus*). Węże, liczne na południu, nikną ku północy, a pomiędzy owadami odznacza się gąsienica i ćma jedwabnicza, od niepamiętnych czasów dla oprzędów jedwabniczych rozmnażana i hodowana.

IV. Chińczycy.

Wszystkie ludy zamieszkujące obszar Chin, zaliczamy do rasy mongolskiej. Nie należy sobie jednak wyobrażać, że te 330 czy 400 milionów mieszkańców—bo któż ich dokładnie zliczył?—to ludność jednolita, odznaczająca się tem, że ma okrągłe głowy, szerokie twarze, żółtą cerę, ukośne oczy, czarne szorstkie włosy i średni wzrost ciała. Same różnice klimatu musiały na tej olbrzymiej ludności wycisnąć swe piętna i wytworzyć dość daleko od siebie odbiegające typy — chociaż przyznać trzeba, że kultura duchowa i wpływy państwa zdziałały, co tylko można było, aby z rozmaitych ludów wytworzyć jedną państwową całość.

Już w samej barwie skóry są na północy i na południu Chin znaczne różnice. Na południu cera dzieci jest różowawa, policzki ich rumiane, starcy nawet odznaczają się jaśniejszą, cielistą barwą— lecz w wielkiej nizinie ku południowi, już jest cera żółta, jak ziarna pszenicy, a na południu przechodzi w brunatną barwę Malajczyków. Wzrost południowych chińczyków jest w przecięciu znacznie mniejszy niż północnych, między którymi i bardzo wysocy się trafiają. W ogóle tacy np. mieszkańcy prowincyi Pe-czy-li odbijają swą szorstkością i ciężkością form od małych, zwinnych i gładkich chińczyków z prowincyi Szan-si. Lecz i tu i tam rozróżnić można typy arystokratyczne, wyższą kulturą w ciągu całych pokoleń wycyzelowane. I tu są zatem orle nosy, delikatnie rozcięte powieki i wązkie usta, odbijające od płaskich twarzy i rozlanych rysów, które pospólstwo chińskie charakteryzują.

Istnieją nadto wśród tej ludności odłamy, które się oddzielnie trzymają i osobne typy tworzą, co jednak nie tyle może odrębności rasowej, ile wiekowym wpływom dziejowym i ekonomicznym przypisać należy. I tak np. w południowej prowincyi Kwangtung mieszkają obok siebie, lecz o ile możności nie mieszając się ze sobą, trzy różne odłamy t. z. „Punti,“ czyli tubylcy, „Hakka“ i „Hoklo,“

posługujący się rozmaitemi dyalektami i stanowiący odmienne typy pod względem sposobu życia, zwyczajów i zajęć. Punti, których ma być 21 milionów, przewodzą w urzędach, w handlu, przemyśle i w rolnictwie, a osady ich odznaczają się większą zamożnością, niż osady dwóch innych odłamów. Pola ich leżą w okolicah najżyźniejszych, kobiety ich zmniejszają stopy sztucznie, podczas gdy kobiety pokoleń „Hakka“ i „Hoklo“ tego nie czynią. Odłam „Hakka“, liczący około 4 miliony głów, przywędrować miał w te okolice z północy i zajął położenia mniej korzystne. Dostarcza on ludzi silniejszych, energiczniejszych i zdolnych do kolonizacyi, tak iż np. na wyspie Formozie poczynili oni jako koloniści największe postępy. W kraju są żywiołem ruchliwym, dostarczają wybornych robotników i ulegają łatwo wpływowi misyonarzy. Trzymilionowe zaś pokolenie Hoklo, to prawie wyłącznie rybacy, którzy obsiedli wybrzeża, trudniąc się rybołowstwem i rolnictwem. Pokrewne im jest pokolenie Tanka, również trzymające się oddzielnie w gromadzie około 40.000 głów, Ci spędzają całe swe życie na wodach, szczególniej na rzekach pod Kantonem, jako przewoźnicy, robotnicy okrętowi i t. d., a kobiety ich zarabiają, najmując się do przewozu ze swemi czółnami.

W głębi gór pogranicznych, między prowincyami Kwei-czou i Kwang-si, są plemiona górskie, uważające się za niepodległe i nie tknięte jeszcze przez cywilizacyę chińską. Zowią się one Miao-tse, Miao-seng, Petsai, Sai i Mulan. Do nieposkromionych należy także plemię barmańskie Lolo, osiadłe w górach na pograniczu prowincyi Ju-nan i Szeczuan. Lecz rząd chiński nie kwapi się wcale z podbijaniem i poskramianiem tych nieokiełzanych górali. Zadawalnia się pobieraniem haraczu; czasem gdy wybuchną niepokoje, zwraca dyplomatycznie jedno plemionko przeciw drugiemu — a zresztą kupcy i żołnierze omijają ich niebezpieczne terytorya. Sama kultura chińska robi powoli swoje, podmywa te dzikie odłamy, podsuwa im chiński język i uczy je nosić chińskie warkocze.

Ubiór chińczyka, taki sam na północy, jak i na południu, wyrównywa na oko wiele różnic, tak że nawet różnice stanu gubią się tu bardziej niż gdziekolwiek indziej. Szerokie spodnie i wolny kaftanik, jedno i drugie z bawełny indygiem barwionej, czasem jeszcze po wierzchu czarna bluza z grubszego materyału — oto odzienie całych mas ludności. Sukni z cięższych tkanin wełnianych, sprowadzanych z Europy, a w ostatnich latach już i w Chinach wyrabianych,

na nich dla siebie, środkowy zaś, dziewiąty kwadrat, uprawiają dla panującego. Jest to rodzaj „dziewięciny“ na rzecz państwa.

Ten stan posiadania został w III, lub IV w. po Chrystusie zniesiony, ziemia poczęła się stawać poniekąd własnością prywatną i jest dziś na drobne grunta rozbitą. Obszar 60 hektarów, to już bardzo wielka własność ziemska, posiadacz sześciu hektarów nazywa się zamożnym rolnikiem. W pobliżu wielkich miast hektar lub półtora hektara wystarcza, aby utrzymać dostatnio rodzinę, jeśli sama na roli pracuje.

Uprawa małych parceli jest zresztą uprawą ogrodową, a takie kultury, jak morwy i gąsienicy jedwabniczej albo herbaty, dające możność zużytkowania sił roboczych nawet drobnej dziatwy w rodzinie, przynosi oczywiście większe dochody, niż uprawa zbóż.

W zasadzie jest dziś jeszcze państwo właściwym pasiadaczem ziemi, a prywatnym służy prawo używania, które mogą dowolnie na innych przenosić, z zastrzeżeniem wszakże niepodzielności gruntu poniżej obszaru, mierzącego około $^3/_4$ hektara.

Z zasady, że państwo jest właścicielem ziemi, wynika dla użytkującego z tej ziemi rolnika obowiązek uprawiania jej. Jeśli tego nie czyni, może być karanym, a nawet

użytkowania oddanego mu kawałka ziemi pozbawionym. Istnieją też po wsiach ustanowieni z urzędu nadzorcy rolnictwa, którzy mają baczyć i przynaglać, ażeby rola była dobrze uprawianą, ażeby ją w należytym czasie gnojono, orano, obsiewano i starannie plony jej zbierano. Niedbały i niebaczny na upomnienia rolnik może się doczekać plag bambusowych, a w końcu może być, jako niegodny ziemi, posiadania jej pozbawiony.

Głównym produktem rolnictwa chińskiego jest ryż. Żyzność ziemi na południu i w środkowych Chinach jest taką, że plon zbiera się przeciętnie dwa razy do roku. Mimo tego dla ludności dzisiejszej jest on już nie wystarczający i zasilany bywa dowozami z Formozy, Manili, Indochin, a nawet Ameryki.

W dawnych kronikach chińskich jest mowa o sześciu płodach rolniczych. Prawdopodobnie były to trzy gatunki prosa, ryż, jęczmień i bób. Do późniejszych należą już pszenica, żyto i tatarka, udające się na równinach południowej Mandżuryi, a jeszcze później wprowadzona została kukurydza i kartofle, i w całych Chinach rozpowszechnione. Swiadczyłoby to, że jeśli chodziło o korzyść dla rolnictwa i wyżywienia ludności, nie zamykali się chińczycy w za-

krzepłym konserwatyźmie i umieli sobie nowe, pożyteczne uprawy przyswoić.

Tam, gdzie nie jest zastosowaną wprost ręczna uprawa ogrodowa, dalecy są chińczycy od ulepszonych narzędzi i maszyn rolniczych. Pług chiński z domowym bawołem w zaprzęgu, skrobie ziemię dość płytko, ziarno wymłacają cepami, wszelkie roboty w polu wykonują ręcznie. Gdy zaś bydła nie wiele utrzymują, łożyć muszą wiele starań, aby znawozić ziemię jak należy. Wartość nawozu umie Chińczyk cenić i w wynajdywaniu go jest mistrzem. Wszelkie odpadki roślinne i zwierzęce, odchody ludzkie, popiół — wszystko zbiera troskliwie na kompost. Reszty dokonywa kanalizacja i od wieków znane nawadnianie pól, szczególnie ważne i niezbędne przy uprawie ryżu.

Bliżej morza, bliżej portów, zmienia się powoli konserwatywny sposób gospodarowania chińczyków; poczynają wchodzić w użycie lepsze pługi, młynki do czyszczenia zboża, nawet młocarnie. Idzie to powoli, lecz niepodobna przypuścić, ażeby chińczyk, obdarzony bardzo trzeźwym, praktycznym rozumem, nie miał w obec ulepszeń europejskich pójść tą samą drogą co japończyk, t. j. uznać je i przyjąć. Gdy jednak dotychczas zajmowali chińczycy

w obec reszty narodów azyatyckich stanowisko kierownicze i czuli się na najwyższym szczycie kultury — nie dziw, że są jeszcze zawsze przejęci uprzedzeniami i wstrętem do wszystkiego, co ich z Europy dochodzi, a tem bardziej, że wstrętem i nienawiścią zieją do samychże europejczyków.

To też w głębi Chin robota przy roli idzie w ten sam sposób jak przed tysiącem lat.

Uprawa ryżu jest bardzo uciążliwą i mozolną. Wzruszanie ziemi odbywa się prawie pod wodą. Ludzie i bawoły grzęzną przytem po kolana w błocie. Namoczone ziarno sieją gęsto, a gdy ryżowe roślinki zejdą i na kilka centymetrów urosną, wtedy wydobywa się je i sadzi ręcznie na łanie. Rosną one szybką i przy sprzyjających okolicznościach okrywają już po kilkunastu dniach cały łan żywą, jasną zielonością. Plewienie i bezustanne nawadnianie staje się wówczas główną troską rolnika, jeśli pragnie rychłego i dobregu sprzętu. Do zupełnego wyrośnięcia i dojrzenia wymaga ryż stu dni. To też w czerwcu idzie już pod sierp. Wiążą go w małe snopki, a skoro tylko przeschnie, wymłacają w ten sposób, że uderzają snopkami silnie o wewnetrzne ściany beczek, w których się wytrząśnięte ziarna

gromadzą. Czasem używają do młocki odpowiednich cepów albo tratują snopy, przepędzając przez nie bawoły, muły i osły. Czyszczenie ziarna odbywa się na przeciągu w otwartych wrotach szopy, ale także już coraz częściej na młynkach europejskiej konstrukcji.

Z końcem lipca następuje drugi siew ryżu, a zbiór jego przypada na początek listopada. Ten drugi zbiór daje już ziarno gorszej jakości.

W cieplejszych prowincjach usiłuje chińczyk zdobyć jeszcze trzeci plon na tej samej roli. Posiłkując się gnojówką, którą beczkami sprowadza, sadzi cebulę, kartofle, sałatę, rzepę i t. d. Gdzieindziej obsiewa jeszcze takie pola pszenicą lub jęczmieniem, które zresztą w prowincjach północnych o tych samych porach co u nas bywają uprawiane i zbierane.

Ryżem spłacają chińczycy daninę rządowi, który go w wielkich magazynach gromadzi, wydając stopniowo nagromadzone zapasy na wyżywienie wojska, na zasilanie okolic głodem dotkniętych i t. p. Mniejsze szpichlerze istnieją po wsiach. Stąd zasilają się rolnicy ziarnem na zasiew, które w zimie z plonów własnych z procentem zwracają. Najbezpieczniej przechowuje się po szpichlerzach ryż jeszcze niewymłócony.

Do ziarna wymłóconego dodają nieraz popiołu ze spalonej słomy ryżowej, dla zabezpieczenia go od owadów szkodliwych.

Dalszymi ważnymi produktami rolnictwa chińskiego są trzcina cukrowa i indigo. Trzcinę uprawiają przez sztubrowanie półmetrowych sadzonek o dwóch lub trzech kolankach, na gruntach silnie nawodnianych. Sprzęt bywa dwukrotnym w roku, a do wyciskania soku cukrowego nadają się głównie odziomki łodyg, ścinanych jaknajniżej przy ziemi. Wierzchy idą na paszę dla bydła lub na opał. Sok trzcinowy wyciskają na małą skalę pomiędzy kamiennymi walcami, gotują go, klarują wapnem i zlewają go do naczyń glinianych, mających poniekąd kształt filtrów, zakończonych w dozie szyjkami, przez które się po wykrystalizowaniu cukru melasę spuszcza. Kawałki łodyg trzcinowych sprzedawane są także na surowo jako smakołyki do żucia.

Indigo, tak ważne do barwienia tkanin dla samych Chińczyków, między którymi robotnicza barwa szafirowa odzieży jest powszechną, udaje się wybornie w najbardziej południowych prowincjach, szczególniej w Kwantungu. Roślina indyga, należąca do roślin motylkowatych *(indigofera tinctoria)*, właściwą jest klimatowi tropikalnemu. Największe ilości barwnika indygowego po-

chodzą też z Bengalu, Madras, Manili, Jawy i t. d., lecz i w produkcji południowych Chin ma uprawa indiga niemałe znaczenie. Jest to krzew niewielki, który w trzy miesiące po wysiewie dochodzi do kwiatu— i wtedy ścinają chińczycy łodygę jego sierpem na jakich 12 centymetrów nad ziemią. Wyciśnięty z tych łodyg sok, odpowiednio sfermentowany i zgęszczony, daje właśnie owe szafirowe, metalicznie błyszczące tabliczki barwnika szafirowego, sławnego na cały świat ze swej siły i trwałości barwierskiej. Dodać jeszcze należy, że roślina indyga odrasta po obcięciu i może być trzy, a nawet cztery razy w roku ciętą i wyzyskaną.

Do powyższych głównych płodów chińskiego rolnictwa wypada jeszcze doliczyć rozmaite rodzaje bobu, fasoli, grochu, dalej mak na opium, tytoń, bawełnę, a nakoniec oczywiście herbatę, która wsławiła Chiny u milionów takiej ludności, która prócz herbaty nic więcej chińskiego nie zna i nic zresztą o Chinach nie wie.

Jest to więc dość długi szereg płodów, z którymi rolnik chiński ma do czynienia, nie mówiąc już o tysiącznych ogrodowiznach, owocach i roślinach ozdobnych, które po ogrodach z prawdziwie chińską starannością,

pracowitością i zamiłowaniem są pielegnowane.

Z tą pracą około roli łączy się chów bydła rogatego, głównie jako pociągowego, gdyż chińczyk pospolicie nabiału nie używa, chów osłów, mułów i koni do zaprzęgu i pod wierzch, ras wcale nie wybrednych, chów wybornych gatunków świń, których mięso bardzo chętnie przez chińczyków jest spożywane, nareszcie hodowla najrozmaitszych gatunków drobiu dla jaj i na mięso.

Na chudych pagórkach w prowincyach Szan-si i Pe-czy-li wypasają owce, a wełna jest jednym z głównych artykułów przywozu z Mongolji, gdzie także owce i wielbłądy hodują.

Pomimo wielkiej pracowitości rolnika chińskiego wiszą nad nim zawsze dwie ciężkie klęski: posucha i wylewy, którym dość często, głównie z powodu wyniszczenia lasów ulega. Nieraz też chodzą do Europy wieści o głodzie w Chinach, o strasznym głodzie, który setkami tysięcy ludność chińską morzy.

VIII. Herbata chińska.

Kto nie zna cherbaty chińskiej? Nie wszystka ona przychodzi już dzisiaj prosto z Chin. Owszem, bardzo wiele herbaty wywozi dziś Cejlon i Indje, wiele Japonia — ale koniec końców herbata jest chińską tak dalece, że Chiny bez herbaty nie dadzą się wprost pomyśleć. Jest ona najważniejszym i można powiedzieć jedynym napojem setek milionów chińczyków, a nadto wielce ważnym ich artykułem wywozowym.

Tylko niech sobie nikt nie myśli, że chińczyk pije herbatę, tak jak my, z cukrem, a w dodatku jeszcze ze śmietanką. Cukru nie dodają chińczycy do swego narodowego napoju, a śmietanki nie znają nawet, bo wogóle nie hodują krów na mleko i nie używają go wcale. Tylko w górach Tybetu zwykli dodawać masła do herbaty, albo nawet zasypywać kaszą i z do datkiem zaprażki mącznej robić z herbaty zupę.

„Gdym odwiedzał chińczyków i czynił u nich zakupy — opowiada podróżnik Hesse-Wartegg (China und Japan) — podawano mi zawsze filiżaneczkę herbaty. Ozdobiony

warkoczem, migdałowo-oki mongoł przynosił filiżaneczki, wrzucał do nich po kilka listków herbaty, zalewał kipiącą wodą i nakrywał odwróconemi do góry dnem podstawkami. Po kilku minutach wziął mój chińczyk filiżankę w prawą rękę, zasunął nieco wskazującym palcem spodek, tak że się jego brzegi z brzegami filiżanki schodziły i przez utworzoną w ten sposób szparę wciągał ustami gorący żółto-zielony odwar, zapobiegając wciskaniu się listków do ust. Przy pierwszej mojej próbie, ażeby także w ten sposób pić herbatę, wymknęła mi się z pod palca podstawka i stłukła, oparzyłem sobie rękę i język, a w dodatku napój wydał mi się obrzydliwym. Przy następnych próbach szło jednak już lepiej, a po tygodniu nietylko pojąłem, że tylko tak musi się pić chińską herbatę, lecz że jest wspaniałym napojem i że się go używa z rozkoszą".

Tak się pije herbatę chińską. A jakże się ją zbiera i przyrządza? Idźmyż znowu za opisem naszego podróżnika.

„Był to początek maja, podobnie jak u nas najpiękniejszego miesiąca w Chinach. W dole nad rzeką pola ryżowe błyszczały wspaniałą zielenią, wyżej na stokach gór bujało zboże po kolana, przeplatane jaskrawem kwieciem maku i czerwoną koniczyną,

a jeszcze wyżej, aż po szczyty wzgórz, rozścielały się przecudownie kwitnące azalje. Tu i owdzie, skupiając się koło gospodarstw włościańskich, wznosiły się potężne wierzby i drzewa kamforowe o ciemnozielonych, gęstych koronach. Po pniach tych drzew wspinały się najpiękniejsze i najtrwalsze z pnących roślin, wistarje, plącząc swe gałęzie z gałęziami i przezierając z pomiędzy nich niezliczoną ilością swych liljowych gron kwiatowych.

„Powietrze rozbrzmiewało śpiewem drozdów, jak u nas, i ciepłe słonko wiosenne oświecało tak wspaniały pejzaż, jakiegom się w Chinach nie spodziewał. W małych wioskach i zagrodach, otoczonych starannie uprawionymi ogrodami, pojawiała się tylko gdzieniegdzie jakaś postać ludzka; wszystko zresztą było w polu przy robocie.

„Po dwugodzinnym marszu doszedłem do większej wsi, wzdłuż której ciągnęły się daleko pierwsze plantacje krzewu herbacianego, o właściwej mu sztywnej, głóg nasz przypominającej budowie. Właśnie odbywał się pierwszy zbiór. To też po drodze spotykałem mnóstwo ludzi, mężczyzn, kobiety i dzieci, odpowiadających uprzejmie na moje pozdrowienia. Wszystko to było jednako ubrane w wygodne koszule o szerokich rękawach z ciemno-niebieskiej ba-

wełnianki, i takież szarawary, sięgające nieco niżej poza kolana. Mężczyźni mieli duże kapelusze słomiane, pod którymi ukrywały się zwinięte warkocze, kobietom służył za okrycie tylko bujny czarny włos, uczesany starannie i ozdobiony kwiatami. I tu po raz pierwszy ujrzałem istotnie piękne i smukłe chinki. Twarze ich były opalone, o cerze naturalnej, nie tak, jak u ich sióstr po miastach, które się pudrują i malują; nogi ich i do pół nagie ramiona były kształtne i jędrne. Szły szybko drobnym krokiem parami, niosąc na ramionach drążki bambusowe, na których zwieszały się kosze ze świeżo oberwanym liściem herbacianym. Przechodząc koło mnie, spuszczały wstydliwie oczy z uśmieszkiem zażenowania.

„W plantacjach nikogo nie wstrzymało w pracy moje przybycie. Setki dziewcząt i dzieci, nawet pięćio- i sześcioletnich, obsmykiwały pilnie liść z gałązek i rzucały go poza siebie do koszów, które miały na plecach przywiązane. Wszystko się śpieszyło, bo do tygodnia musiał już zbiór być ukończony. Jest to pierwszy i najcenniejszy z tych trzech, a najwyżej czterech zbiorów, których krzew herbaciany w ciągu roku dostarcza. Pod koniec kwietnia i z początkiem maja są listki najbardziej mięsiste, bardziej aromatyczne niż później i okryte

kutnerkiem z białych gęstych włosków. Mylnie nazywają zbiór ten w Europie zbiorem kwiatu herbaty. Białawych kwiatów herbaty, które rozwijają się na końcach gałązek, a nie mają żadnego smaku i zapachu, nie zrywa się wcale. Dla podniesienia aromatu herbaty dodają czasem do niej kwiatów, ale z innych woniejących roślin. Z kwiatów herbaty rozwija się w jesieni owoców w kształcie trójdzielnej torebki o trzech grubych ziarnach, które się dla uzyskania młodych roślin wysadza".

Tak zbiera się liść herbaciany, lecz na tem nie kończy się wcale robota około herbaty. Skoro kosz świeżego liścia zostanie przyniesiony do chaty, następuje przebieranie liści żółtych i zepsutych. Co dobre idzie na półki, zaopatrzone plecionkami przejrzystymi z bambusu, na których listki miękną i więdną tak, iż można je ręką zwijać. To zwijanie w rolki jest bardzo ważną czynnością, trwa ono tak długo, aż się na powierzchni listków zaczną pokazywać czerwone plamki. Zwinięte listki pakuje się je do bawełnianych woreczków i wrzuca się je do poprzedziurawianych beczek, poczem wskakuje do beczki robotnik i tratuje je tak długo, aż przez otwory beczki zacznie wyciekać lepka, olejowata ciecz. Z cieczą tą odchodzi z liści przeważna

część cierpkiego garbniku, a waga liści spada zaledwo na czwartą część wagi pierwotnej.

Dopiero wtedy przygotowaną jest herbata do ostatniej czynności, t. j. do przeprażania w piecach. Dokonują tego albo sami włościanie na małą skalę, albo hurtowni kupcy, którzy budują na ten cel osobne piece i przeprażaja herbatę fabrycznie.

Uprawa herbaty odbywa się zawsze na małych gospodarstwach; plon bywa zatem w odpowiedniej porze przez podróżujących hurtowników skupowany i w centrach handlu herbacianego sortowany i pakowany.

Najgłówniejszym z tych centrów jest miasto Hankou. Leży ono w sercu Chin, w pośrodku najlepszych plantacji herbaty nad Jangtse-kiangiem, na 1000 kilometrów w głąb od ujścia tej spławnej rzeki. Jest to raczej olbrzymia wieś, otoczona dalszemi wsiami i licząca około półtora miliona mieszkańców. Jej wrotami do świata jest portowe miasto Szangaj, leżące przy ujsciu Jangtsekiangu. Tysiące kupców zjeżdża się do Hankowa, setki specjalnych smakoszów kosztują od rana do nocy za drogie pieniądze odwary próbek herbacianych na podstawie ich oceny przychodzą do skutku tranzakcje handlowe i tysiące statków odwożą kupioną herbatę w świat.

IX. Co chińczyk je i pije.

Mylą się podróżnicy, którzy rozgłosili, że chińczykowi dość garstki ryżu, aby się odżywił i wytrwale przytem pracował. Jest on wprawdzie nie wymagający, poprzestaje na małem i na ogół wziąwszy, łatwiej się wyżywi, niż robotnik europejski — ale samym ryżem nie żyje. Kombinuje on swoje pożywienie z rybą i jarzyną, a ospałe nerwy pokrzepia herbatą. Bataty (*Dioscorea Batatos*, dająca pożywne bulwy jak kartofel), rozmaite warzywa, gęsto uprawiane rośliny strączkowe, młode pędy bambusu, zresztą zmyślnie sporządzone konserwy jarzynowe, jak np. specjalnie chiński, bardzo pożywny serek z mąki grochowej — uzupełniają niewymyślny stół chińczyka. W krajach północno-wschodnich, gdzie ryż jest droższy, żywią się kartoflami, sałatą kiszoną, kapustą, kluskami, jak lud wiejski u nas.

Znaczną część pożywienia dostarczają ryby, których wszędzie wielka ilość i w morzach, i w rzekach, i po kanałach. Sztuczną hodowlą ryb, od dawna w Chinach znaną, podtrzymuje się owa rybność wód. Gdy naprzykład ryż dojrzeje i zostanie zebrany, zalewa chińczyk pole ryżową wodą, lecz zaraz puszcza do niej narybek. A więc ten

sam kawałek ziemi, który dał w lecie ryż, daje w zimie rybę.

Czółna kanałowe są tak urządzone, że u przodu można w nich rozpinać poziomą sieć, która z biegiem czółna się posuwa i rybę łowi. Bardzo często pomaga w tem i ułaskawiony kormoran. Siedzi na brzegu łodzi i śledzi, a gdy się ryba pojawi, rzuca się do wody i niesie ją swemu panu.

O ryby więc nie trudno i odgrywają one poważną rolę w żywieniu się chińczyków.

Lecz zamożniejsi wychodzą znacznie poza powyższe ramy i przyswajają sobie już dzisiaj nawet rozmaite delikatesy europejskie.

Oto jak opisuje Hesse-Wartegg swój pierwszy obiad u zamożnego chińczyka w Kantonie.

Otrzymawszy dużą czerwoną kartę z zaproszeniem na obiad, a w sam dzień przyjęcia drugą kartę czerwoną z oznaczeniem godziny obiadu, udał się nasz podróżny do domu swego amfitrjona, otoczonego wysokim murem z szarej cegły.

„Gospodarz — pisze Hesse - Wartegg — powitał mnie głębokim ukłonem, przyczem obie w pięść zwinięte ręce podniósł do czoła. Ubrany był w długą opończę z ciężkiego jedwabiu, a na głowie, ozdobionej warkoczem, miał duży kapelusz tatarski z długim czerwonym kutasem z jedwabiu. Wpro-

wadził mnie do salonu, przystrojonego wspaniałemi rzeźbami z hebanu, lampionami i wazami, w których tkwiły sztuczne kwiaty. Goście byli już zebrani—kilku chińczyków i młody anglik, jeden z mych towarzyszy podróży. Po przedstawieniu wzajemnem przez gospodarza, rozpoczęła się rozmowa od stereotypowego pytania o „czcigodny wiek“. Ponieważ się pokazało, że byłem starszy od anglika, oddano mi głębsze ukłony. Gdy gospodarz domu oświadczył, że przekroczył sześćdziesiątkę, wywołał zdziwienie anglika, który, spytany o przyczynę, oświadczył, że miał go z wyglądu za młodszego. Ten europejski komplement nie został mile przyjęty, gdyż chińczycy uważają za zaszczyt, jeśli się ich uważa za starszych, niż są rzeczywiście.

Jużeśmy myśleli, że nie będziemy mieli kobiecego towarzystwa, gdy wtem drzwi się otworzyły i weszło, a raczej przydreptało sześć młodych, bardzo elegancko ubranych dam, na stopach tak krótkich, jak palec, z sznurkami pereł i motylami w gładko uczesanych i wypomadowanych włosach, z twarzyczkami ładnemi, pomalowanemi na biało, o mocno czerwonych policzkach. Za niemi weszło dalszych sześć, jeszcze młodszych istotek żeńskich, w skromniejszych sukniach, które się u drzwi zatrzymały. Każ-

da trzymała „nardżilę“ (fajkę, w której dym przez wodę przechodzi) i zapalone lonty. Były to służące naszych dam.

Nie były to jednak panie domu. W obiadach, na których są obcy ludzie, czy to europejczycy czy chińczycy, nie biorą nigdy udziału kobiety, należące do rodziny gospodarza. Były to poprostu śpiewaczki, które nam miały ucztę umilić. Ani wszakże strojem ani zachowaniem swem nie objawiały żadnej lekkości obyczajów. Długie ich suknie z niebieskiego jedwabiu, sięgały od szyi, aż do kostek i nie odsłaniały ani dziesiątej części tego, co ukazuje w Europie najprzyzwoitsza dama na balu. Z powagą wkroczyły za nimi do jadalni, do której nas gościnny gospodarz wprowadził.

Jadalnia była wysoka i obszerna, a całą jej jedną ścianę tworzyła rzezba ażurowa z hebanu, przez którą można było podziwiać piękny ogród właściciela i stawek z kwitnącemi lotusami. Stoły były ustawione wzdłuż sali w zygzak, a siedziało się przy nich tylko z jednej strony i na przyczółkach, twarzami ku ścianie ażurowej. Ta wolna, głębsza strona sali była przeznaczona właśnie dla śpiewaczek. Duże kolorowe latarnie zwieszały się na jedwabnych sznurkach od powały. Ściany były okryte długiemi, papierowemi wstęgami o napisach

z sentencjami chińskiemi, a pod ścianami stały małe stoliki i krzesełka hebanowe. Ułożone tam były talerze, miseczki, kociołki z żarem itd.

Zasiedliśmy wśród wielkich ceremonji i nizkich ukłonów. Pomiędzy nami usiadły także piękne damy. Chichotały one co chwila udzielając sobie uwag, które się widocznie tyczyły nas europejczyków.

Stoły okryte były potrawami i kwiatami. Stały tu półmiski z kaczkami, szynką, jarzynami i owocami, a każdy półmisek jeszcze kwiatami zdobny. Przed każdym z biesiadników ustawiono wytworne talerzyki, filiżanki i kubki z porcelany na wino i herbatę. Niestety, nie było przy nich widelców i nożów, tylko pałeczki z kości słoniowej z pięknie cyzelowanemi, srebrnemi główkami. Takie pałeczki, najpospoliciej z bukszpanu, o wyżłobionych nieco główkach, długości niespełna 20 centymetrów, służą chińczykom od tysięcy lat jako jedyny przyrząd do jedzenia, a umieją oni niemi tak zręcznie manipulować, że zbierają nawet pojedyńcze ziarnka ryżu bez trudności.

Gospodarz domu usprawiedliwiał się, że umyślnie urządził tak przyjęcie, ażeby nas obznajmić jak najściślej z chińskim sposobem jedzenia — a mówiąc to nalał sobie do kubeczka ciepłego „samszu“ to jest wód-

ki ryżowej, wypił i obróciwszy kubek pokazał, że nic się nie zostało. Każdy z biesiadników czynił z kolei to samo. Ja także musiałem ich naśladować. „Samszu" miało smak letniego, ostrego „sherry".

Koło każdego gościa leżało kilka zadrukowanych bibułek, podobnych, jak znane wszystkim japońskie serwetki papierowe, tylko nieco mniejszych. Nie służą one do obcierania ust, ale do oczyszczania pałeczek, bo tych się w ciągu obiadu nie zmienia. Zbrukane papierki rzuca się pod stół. Przed każdym z biesiadników znajdowały się dwie czareczki, jedna srebna z przyprawami korzennemi, druga porcelanowa ze znanym i u nas ostrym sosem „soya".

Patrząc na stojące przedemną szynki i gęsi, zastanowiłem się, jak to będzie można jeść bez noża—gdy wtem służba przyniosła potrawę mięsną, pokrajaną na drobne kawałeczki, dla każdego z gości osobno w czareczce porcelanowej. Co to było za mięso, nie mogłem rozpoznać, bo pływało w różnokolorowym sosie,—a mimo niezmordowanych usiłowań nie mogłem mojemi pałeczkami ani kawałeczka tego mięsa wyłowić. Śmiały się z tego nasze towarzyszki, aż wreszcie uprzejmy amfitrjon wydobył swemi pałeczkami kawałek mięsiwa wsunął mi do ust. Jest to u chińczyków wielka

oznaka gościnności, z którą musiałem się zgodzić, choć byłbym jej wolał nie doznać, bo smak tego mięsiwa był jakiś słodkawo-olejowaty, jednem słowem nieznośny. Byłem głodny, z pożądliwością patrzałem na stojące przedemną pomarańcze i mangi — a przecież zaledwo zdołałem połknąć wsunięty mi do ust przysmak.

Oczekiwałem na drugie danie, spodziewając się czegoś lepszego — lecz pojawiły się znowu kawałeczki mięsa w sosie, najokropniej czosnkiem zaprawione. Wyłowiłem i zjadłem kawałek z grzeczności, potem zaś manipulowałem pałeczkami w sosie, udając, że nic schwytać nie mogę. Bawiło to moją sąsiadkę, lecz także rozbudziło jej litość, bo mi znów ona kawałek mięsa do ust wsunęła.

Tak przesunęło się dwanaście lub czternaście dań — wśród czego nie mogłem się oprzeć karmieniu mnie to z prawej to lewej strony — i jeszcze nie było temu końca. Tak samo zmieniały się czareczki z wódką ryżową, którą do połowy wypróżniałem i które służba zmieniała na nowe, napełnione świeżo ogrzanym napojem. Mimo usiłowań mej towarzyszki, ażeby mnie bawić i do mnie przypijać, stawała się biesiada okropnie nudną. Towarzysz mój, anglik używał zręcznie chustki, ażeby do niej

kawałki mięsa wypluwać. Cały jego obiad musiał już być pod stołem.

Upał, specjalny wyziew rasy chińskiej, tak zwany *odeur chinois*, ciepła wódka ryżowa, zapachy przypraw korzennych — wszystko to czyniło nam dwom europejczykom dłuższe siedzenie przy stole niemożliwem. Dawaliśmy sobie tedy znaki, ażeby wstać. Spostrzegł to nasz gospodarz i był tak uprzejmym, że wstał sam, ukłonił się i wszyscy za nim uczynili to samo. Odetchnęliśmy. W tem przystąpił do mnie tłumacz i objaśnił, że gościnny gospodarz chce nam dać sposobność posłuchania śpiewaczek i wypalenia kilku fajeczek tytoniu, i że potem nastąpi... dalsza część obiadu. Struchlałem.

I w istocie, po przerwie, którą zapełniły nardżile chińskie i monotonne śpiewy chinek, przy gitarowym akompanjamencie, oraz ciekawe sztuczki chińskiego kuglarza — musiał Hesse-Wartegg zasiąść do reszty uczty. Nastąpiło znowu około dwunastu dań, między tem kacze języki, potrawka z ryja świńskiego, małe rybki z przyprawianemi młodemi szyszkami, smarzone korzenie lilji, móżdżek rybi z grzybkami—a w końcu sławne gniazda jaskółcze o niesłychanie mdłym smaku, i pletwy rekina, które mają być wca-

le dobre i przypominają smacznie przyrządzone chrząstki cielęce.

Była jeszcze jedna potrawa, którą chińczycy wysoko cenią, a której Hesse-Wartegg nawet dotknąć nie mógł. Były to stare jaja w galarecie, trącącej mocno gazem siarkowodowym. Podróżnik nasz podaje szczegółową receptę tego chińskiego przysmaku. Swieżo zniesione jaja wkłada się do ropy solnej, w której jest jeszcze popiół, wapno i różne zioła aromatyczne. W tej ropie leżą jaja przez 40 dni, a mogą i dłużej leżeć, bo wtedy zdaniem chińczyków są jeszcze lepsze. Potem podają je w galarecie.

Gdy obaj goście europejscy potrawę tę ze wstrętem odsunęli, dziwił się gościnny gospodarz i uczynił tę, zresztą bardzo słuszną uwagę, że europejczycy jedzą przecież z zachwytem sery, które trzymają aż do procesu gnicia i spleśnienia, i które także nie bardzo przyjemnie pachną?

Biednych europejczyków przejednał dopiero podany przy końcu biesiady półmisek dymiącego, woniejącego, ryżu!

Biesiada trwała do godziny 11-tej w nocy, a chińczycy chrupali jeszcze pomiędzy potrawami ulubione przez nich, suszone ziarnka melonowe, których były pełne czarki na stole.

Tak wygląda uczta chińska. Trzeba jednak zauważyć, że uczty tego rodzaju, jak powyżej opisane, bywają rzadkością w majętnych mandaryńskich domach i że chińczycy są wogóle w domowem życiu niewybredni co do jedzenia i poprzestają łatwo na małem.

X. Wieś i miasto.

Z wysoko rozwiniętego życia rodzinnego u chińczyków wynika, że różne linje jednej rodziny, począwszy od dziadka, aż do wnuka, starają się trzymać razem. Wypływa stąd skłonność do tłumnego, gęstego osiedlania się, do mieszkań gromadnych, urągających częstokroć wszelkim przepisom hygieny. Że w takich warunkach i czystość jest bardzo rzadką cnotą chińczyka, rozumie się samo przez się. Podróżnicy nie mają dość słów potępienia dla brudu po wsiach i miastach chińskich. Choroby oczu i skóry trafiają się bardzo często wskutek tej niechlujności.

Po wsiach budują domy jedno i dwupiętrowe ze surowej cegły. Materjałem na ozdobniejsze budowy po miastach jest przeważnie drzewo i bambus. Ulice bywają krę-

te, wązkie, ciasne, błotne i najczęściej cuchnące, bo śmiecie i odpadki wyrzucają się na ulicę. Do frontu ulicy nie mają domy pospolicie okien, gdyż w miastach, a nawet po wsiach mieszczą się tu gęsto sklepy i kramy najróżnorodniejsze, herbaciarnie i garkuchnie. Okna wychodzą na podwórze, wnętrze izb, jest w miarę zamożności mieszkańców mniej lub więcej wystawne, często z ozdobnemi matami na podłogach— od ulicy zaś, po obu stronach bramy i drzwi do sklepu rzucają się w oczy deski, malowane krzyczącemi farbami, srebrzone i wyzłacane szyldy z nazwiskiem handlarza i wymienieniem towarów, któremi handluje. Koło bramy są także tablice z nazwiskami wszystkich mieszkańców domu — bo tego wymaga władza — a częstokroć jakieś godło i wstęga z moralną sentencją.

Wązkość ulic dochodzi na południu Chin — szczególniej tam, gdzie głównym środkiem komunikacji jest woda—do 1 i $1^1/_2$ metra. Są to więc tylko ścieżki dla pieszych. Na północy bywają one znacznie szersze, tak, żeby przynajmniej wozy obok siebie minąć się mogły. Pod domami biegnie częstokroć podniesiony chodnik.

Ta szczególna skłonność do gęstego skupiania się leży już w naturze chińczyka i nie jest samym brakiem miejsca na roz-

szerzenie się wywołana. To samo dzieje się i na obczyźnie. W chińskim kwartale w San-Francisko „China-town“ stłumiło się 15.000 chińczyków na obszarze, na którym wprzód i dziesiąta część amerykanów nie miała dość miejsca.

Nawet na rzekach i kanałach spotykać można galary, na których mieszka cała rodzina, z całem gospodarstwem, ba, nawet z grządkami uprawnego warzywa.

Wsie chińskie są znacznie ludniejsze od europejskich. Ludność wsi dochodząca do 8.000 głów, nie jest wcale rzadkością. Miast jest dużo, a między niemi wieie bardzo ludnych. Ilość mieszkańców stolicy, Pekinu, podają na 1.600.000, Kantonu na 1,800.000, miast o milionowej ludności jest pięć: Siang-tan, Czan-czu, Sin-gau, Su-czu i Tien-tsin; Hang-czu i Han-ku liczą po 800.000, Fu-czu 650.000, Nan-king 500,000, Szang-haj 400,000, Ning-po, Czun-king po ćwierć miliona mieszkańców i t. d.

Największe miasta w Mandżuryi są Mukden (140.000 miesz.) i Kiryn (120.000 m.). Inne miasta Mandżurji, Mongolji, Tybetu, Dżungarji, wschodniego Turkestanu, są już znacznie mniejsze. Tajemnicza Lassa np. nie ma podobno więcej nad 25,000 stałych mieszkańców.

Na wybrzeżach chińskich, szczególnie

w dostępnych obcym mocarstwom portach, jak: Kanton, Hong-ko, Szang-haj, Czi-fu, Tien-tsin i inne, gdzie już zdołała się wcisnąć cywilizacja europejska, charakter miast jest odmienny, mieszany. Wśród ludności, przyciągniętej znacznemi tranzakcjami handlowemi, roją się typy narodów całego świata, z pośród chińczyków ciągną szumowiny, chciwe łatwego zysku, gotowe do każdej podłości i zbrodni. Jak zwykle w portach, nie można tu szukać właściwych znamion kultury, zwyczajów i cnót, bo wśród mętów zacierają się ostre kontury charakterystyczne kraju i narodu.

W miastach chińskich wre przedewszystkiem życie handlowe, odpowiadające tak bardzo zmysłowi kalkulacyjnemu chińczyka i jego niezmordowanej ruchliwości. Oto kilka charakterystycznych obrazków miast chińskich.

„Na prawo i lewo — opowiada Hans Majer *(Eine Weltreise)* o Kantonie — ciągnie się sklep za sklepem, albo raczej buda, bez drzwi i okien. Długie deski, zawieszone pionowo pod ścianami domu, polakierowane na czerwono, żółto, zielono, czarno lub biało, pokryte również olbrzymiemi znakami chińskiemi — służą za szyldy i reklamy. Wnętrze sklepu, gdzie kupiec siedzi przy swym szczocie (maszynka rachunkowa z to-

czonemi kulkami na drutach) wśród towarów, pstrzy się barwami i złoceniami. Na ulicy, wyłożonej płytami kamiennemi lub cegłami, przewijają się fale ludzi, aż się mąci w głowie. Ani piędzi ziemi bez człowieka! Przekupnie, obwoływacze, handlarze, rzemieślnicy, „kuli“ z lektykami, żebracy, dzieci, jeźdźcy, cisną się, pchają, potrącają w nieopisanym tłoku. Wszystko to krzyczy, śmieje się, wyje, mruczy—tak, że obok tego tysiące innych dźwięków, jak kucie kowali, uderzanie w „gongi“ (dzwony chińskie), siekanie rzeźników, dzwonienie kucharzy i co tam jeszcze być może—wszystko wydaje się tylko głuchem brzęczeniem. A cały ten obraz jest przyćmiony, gdyż wązkość ulicy nie dopuszcza wiele światła“.

Inny podróżnik, pułkownik Unterbergen, opowiada to samo o Chinach północnych. „Gdy się do murów miejskich zbliżamy—pisze on — słyszymy już gwar wielkomiejski, który się wnet specjalizuje w głośne rozmowy, krzyki ludzi i zwierząt, cisnących się całemi tłumami. Wązkie uliczki wiodą do środka miasta, tak wązkie, że dwa wozy z trudnością tylko mogą się tu minąć. Wzdłuż domów tuż pod sklepami, prowadzi chodnik podniesiony dla pieszych. Lakierowane deski, wysterczające z konstruk-

cyi domów, ciężkie i bogato zdobne gzemsy, jaskrawo malowane fryzy z wyzłacanemi rzeźbami w drzewie, rozmaitość szyldów o najdziwaczniejszych formach, dachówkowe, właściwe chińskiemu budownictwu, powyginane dachy, ozdabiane w narożach najrozmaitszemi figurami i smokami—wszystko to składa się na dziwnie fantastyczny obraz handlowej ulicy chińskiego miasta".

I jeszce parę sylwetek miast chińskich znakomitego podróżnika polskiego W. Sieroszewskiego („Na daleki Wschód. Kartki z podróży").

Oto obrazek z miasta nadbrzeżnego *Czifu.*

„Udaję się do chińskiego miasta. Wszędzie uliczki literalnie są zatkane brudnym, cuchnącym, wrzeszczącym i zajętym tłumem. Spokojniej zachowują się jedynie robotnicy u straganów z jadłem. Przysiadłszy gromadnie na ziemi lub na nizkich ławeczkach, chciwie pożerają z małych miseczek rozlewany przez przekupniów niewybredny pokarm, jakieś makarony w brunatnej zupie. Tymczasem mimo przeciągają całe procesje jucznych mułów, osłów i ludzi, zaczepiając się wcią wzajemnie, wciąż pokrzykując i swarząc. Wokoło dzikie, nieumyte, bronzowe twarze, ale spojrzenia dość łagodne i wesołe... Nieraz spotkawszy się ze

mną oczami, uśmiechają się, pokazując białe zęby... Zresztą zapracowany tłum mało na mnie zwraca uwagi. Dopiero gdym wszył się daleko w miasto, w mniej odwiedzane zaułki, pojawienie się moje zaczęło wywoływać sensację. Z wąziuchnych drzwi, zakrytych od podwórza murowanemi tarczami, wyskakiwały dzieci, wychodziły kobiety w szerokich, kolorowych rajtuzach z małemi jak kopytka nóżkami. Piękności te używają bardzo dużo różu i bielidłą, a o wiele mniej mydła... Każda ma pośrodku ust plamę karminową, im młodsza jest i ładniejsza, tem jaskrawszą. We włosy wpinają sztuczne kwiaty i szpilki z ozdobami z drżących błękitnych piórek sójek, naklejonych na srebro lub złoto. Wszystko to sterczy dość wysoko i chwieje się przy najmniejszym ruchu głowy, gdyż kobieta powinna być zawsze podobną do kwiatu lub motyla...

„Zabrnąłem nareszcie w takie brudne uliczki, że od zapachu źle mi się robić zaczęło. Pod szaremi, odrapanemi murami grudy śmiecia, nawozu, trupy zdechłych kotów i psów. Wśród tych obrzydliwych kopców kręciły się jakieś podejrzane, oparszywiałe, kołtunowate ludzkie i zwierzęce postacie. Tu już nie spostrzegałem uśmiechów, lecz niespokojne, błędne spojrzenia

śledziły za mną, jak za zdobyczą... Obdartusi zaczęli się zwolna skupiać koło mnie... Wykrzykiwali coś od czasu do czasu, pokazując na usta, lecz choć brała mnie głęboka litość, rozumiałem, że byłoby bardzo nierozsądnie wyjąć portmonetkę w tem towarzystwie... Cofnąłem się więc, nie zdradzając pośpiechu, znowu ku europejskiej dzielnicy przez kręte, głuche uliczki bez drzwi i okien, podobne do szpar w popękanych skałach... Obdartusi szli wciąż za mną pokazując na usta. Znikli dopiero w tłumie handlowej dzielnicy błyskawicznie podchwyciwszy rzuconą im monetę, wystraszeni widokiem chińskiego policjanta z grubym kijem w ręku".

Całkiem inaczej wygląda znów *Szanghaj,* wielkie portowe miasto u ujścia Jangtse-kiangu, w opisach tego samego podróżnika.

„Szanghaj—pisze Sieroszewski—słynie jako Paryż Dalekiego Wschodu, stolica mód, zbytku i rozkoszy. Istotnie wygląda on na miasto miljonerów. Ma książęce hotele, oraz banki, kantory, biura i składy, wyglądające jak pałace. Wprawdzie wszystko to jest dość ciężkiej architektury, domy dla chłodu mają okna w głębi werend z wielkiemi zwykle kolumnami, ale we wszystkiem czuć potęgę i bogactwo ludzi, którzy je budowali.

Strzegą ich na rogach wspaniali „sikhiowie“ (straż policyjna) z zaplecionemi krótko brodami, poważni, lecz uprzejmi. Wzdłuż brzegu rzeki wyciągnął się piękny ogród miejski. Widziałem tam na klombach moc pięknych złocieni i pokrewnych im astrów w pełnym kwiecie. Dużo pojazdów krąży po ulicach i dużo „ryksz“ (wózków dwukołowych, ciągnionych przez ludzi), a na chodnikach mieszanina ubiorów i ludów. Lektyk w europejskiem mieście nie widziałem. Bogaci chińczycy także jeżdżą powozami. Najświetniejsze suknie, brylanty, zaprzęgi i konie mają w Szanghaju amerykańskie kokoty... W sklepach można wszystkiego dostać, co wschodnia i zachodnia dusza zamarzy, rozumie się, jeżeli może za to słono zapłacić...

„Okolice Szanghaju toną wśród ogrodów, pełnych roślin podzwrotnikowych. Draceny w gruncie kwitły właśnie, i ogromne, stożkowate, białe kiście ich kwiatów pięknie rysowały się w bladem jesiennem powietrzu. Banany, palmy, bambusy, moc nieznanych mi drzew owocowych, a obok... nasza wierzba złota. Na polach dużo krzaczków bawełnianych, już obranych z waty. W wioskach przydrożnych stukały maszyny, oczyszczające ją z nasion, i gromadki robotników w otwartych szopach wi-

tały śmiechem i żartami moje pojawienienie się przed ich oknami"...

Porównując wieś i miasto, rolnika i handlowca chińskiego, daje Sieroszewski bez namysłu pierwszeństwo wsi i rolnikowi. „Wieś—mówi on—jest ogniskiem chińskiego życia, miasto jest tyklo dla niego dodatkiem. Europejczyk, przyzwyczajony do wręcz odmiennego porządku, często fałszywie sądzi o chińskich zwyczajach"... „Myśl i serce Chin, rozdrobnione na miljony cząsteczek, spoczywają i pracują po wsiach. Dlatego to można zawojować i zniszczyć miasta chińskie, ale nie podobna zmienić i zniszczyć Chin".

XI. Rzemiosła i przemysł.

Przemysł w Chinach, mający za sobą całe wieki doświadczeń i rozwoju, był i pozostał na stopie przemysłu domowego i drobnego, produkującego wyłącznie przy pomocy rąk ludzkich i niewielkiej liczby narzędzi. Pomimo całej swej cywilizacyi i bystrości umysłu, nie doprowadzili chińczycy do wynalazku bardziej skomplikowanych maszyn, tak, jak się to stało w Europie, a jeszcze

samorzutniej w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki. Nie może też przemysł chiński sprostać dziś rosnącym potrzebom ludności, lecz jeśli idzie o dzieła cierpliwości, o cacka miniaturowe, o cenne wyroby artystycznego przemysłu, to praca chińczyków przedstawia nam wiele rzeczy bardzo ciekawych i zdumiewająco pięknych.

Jest tu wiele rozmaitości. Tkaniny jedwabne i bawełniane, porcelana, artystyczne bronzy, naczynia, kute z miedzi, wyroby złotnicze, drobne rzeczy, rzeźbione z kości słoniowej, kryształu górnego, drzewa i szyldkretu, świetne laki chińskie, wyroby koszykarskie z bambusu i innych, nadających się do tego materjałów—oto całe szeregi wyrobów chińskiego przemysłu.

Jedwabie chińskie — atłasy, adamaszki, brokatele, złotogłowy — słynne są od wieków. Znała je Grecja i Rzym starożytny, Babilon pośredniczył w sprowadzaniu ich, a surowe jedwabie kierował do fabryk purpury tyryjskiej. Ptolomeusz nazywa Chiny „krajem jedwabiu“ — Seres. Była to nazwa, pod którą w ogóle Chiny w starożytności znano.

Tkaniny chińskie celowały doskonałością wyrobu i bogactwem ornamentalnem. Bywały ozdabiane haftem na dwie strony wykonanym, a przedstawiającym faunę i florę

chińską z całym przepychem form i barw, niepodobnym do naśladowania. Sprzedawano je też po bajecznych cenach. Dziś, po rozszerzeniu się hodowli jedwabniczej w rozmaitych krajach i udoskonaleniu procederów tkackich, nie mogą już chińczycy osiągnąć cen tak wysokich, wyroby ich zatem nie mają już tego przepychu i tej artystycznej wartości, co niegdyś — tem bardziej, że i rząd je zbyt wysokiemi opłatami uciska.

Przędzeniem i tkaniem bawełny zajmują się w okolicach Kantonu, w Nankinie i w całym Szantungu, gdzie przędzalnictwo i tkactwo bawełny utrzymuje się jeszcze jako silny przemysł domowy. Rolnik tka przez zimę, w lecie wynosi tkaninę na sprzedaż. A chociaż nie wiele sobie liczy za swą pracę, coraz mu trudniej iść w zawody z fabrycznemi tkaninami Anglji, Stanów Zjednoczonych i Japonji, które się do Chin wciskają.

Toż samo postradał i wyrób porcelany wiele z dawnej swej świetności.

W Europie, jak wiadomo, przypadają na połowę wieku XVIII pierwsze próby wyrobu porcelany, w Chinach zaś kwitnął już w IX wieku naszej ery. Jeszcze dziś podziwiają znawcy znakomitą glazurę, prześliczne barwy i wytworny smak zdobienia w starych

wazach, dzbanach, talerzach i filiżankach chińskich. Przez całe wieki były to najcenniejsze, zbytkowe wyroby dalekiego Wschodu, które karawanami do Europy sprowadzano. Siedzibą ich produkcji był King-te-czin w prowincyi Kiang-si, gdzie do niedawna istniało 1.000 pieców i około miliona robotników, zajętych przy porcelanie. Dziś podupadła znacznie i ta gałęź przemysłu chińskiego. Ludność zubożała, mistrzom i artystom brak dostojnych mecenasów i zachęty — a co gorsza, córa cywilizacji chińskiej, Japonja, umiała pod względem technicznym i artystycznym pójść dalej od Chin, przeskrzydliła je i ubiega w podaży, tak tego, jak i innych wyrobów przemysłowych.

Drobne wyroby z drzewa, jak miseczki, tace, kasetki, mebelki, celujące wytwornym lakierem, znanym tylko w Chinach i Japonji, są zawsze wykonywane w Fu-czu, Su-czu, Kantonie i stamtąd idą w szeroki handel.

Podobnie jak i w innych krajach, gdzie przemysł domowy stanowi podstawę wytwórczości przemysłowej, grupuje się on i w Chinach całemi osadami i okolicami. Tak np. w Szantungu rozwinięte jest bardzo koszykarstwo, które swój produkt wysyła do północnej Ameryki; — tkaniny wełniane

i filc wyrabiają w dystryktach granicznych Mongolji i Tybetu, które dostarczają wełny z pierwszej ręki; Szi-Chiau nad górnym biegiem Han - Kiangu zaopatruje przeważną część Chin karukiem,—prowincja Junan rzuca na dalekie targi zachodu specyalny wyrób cegiełek herbacianych — wyroby szklane z Szantungu rozchodzą się po całych Chinach — tak samo ozdobne maty, kapelusze i t. d.

O pracowitej technice w obróbce metalu świadczą chlubnie wykuwane, cienkie, lekkie a ozdobne naczynia z miedzi, niemniej delikatne filigrany ze srebra.

W drobnych wyrobach artystycznych, gdzie przemysł i sztuka podały sobie ręce, w malowaniach na porcelanie, w wypukłym ornamencie bronzów, w rzeźbach z drzewa, kości słoniowej (rączki do wachlarzy), z nefrytu, szyldkretu, w cennych wyrobach złotniczych, emaljowanych i t. d., zasługuje przedewszystkiem na podziwienie zmysł spostrzegawczy chińczyka, jego głębokie wpatrzenie się w naturę i zdolność wiernego, a pięknego odtworzenia tego, co podpatrzył. Ruch i zjawisko, trwające tylko mgnienie oka — ptak zrywający się do lotu, żółw, wypływający na powierzchnię wody, klucz żórawi na tle nieba—wszystko to wychodzi z pod palców tych rzemieślników-artystów

z nieporównaną prawdą i wdziękiem. Kwiaty brzoskwini, piwonie, irysy, lotosy, chryzantemy występują w ich ornamentyce oryginalnie stylizowane, a przecież tak wierne, że botanik może wskazać wszystkie ich cechy znamienne. Do tego dodać trzeba niezwykły zmysł dla barw, łączenia ich, harmonizowania i wydobywanie efektów bardziej plamami barwnemi niż linjami, co nas w sztuce, zastosowanej do przemysłu chińskiego, uderza.

Cały ten stosunek sztuki do przemysłu przypomina nam w Europie XV i XVI stulecie, złoty wiek rękodzieł, który pod wpływem ducha i smaku wielkich artystów, znakomite wydawał dzieła.

Dziś artystyczny przemysł chiński, mianowicie na wybrzeżach Chin, zaczyna się obniżać i niknąć pod inwazją szablonowych, tanich wyrobów fabrycznych Europy. Szukając ratunku, usiłuje je naśladować, lecz tem profanuje sam siebie i chyli się do upadku.

Po wsiach ma przemysł chiński wszystkie cechy przemysłu domowego. Rolnik jest sam sobie budowniczym, sporządza sprzęty i narzędzia rolnicze, rodzina cała pracuje nad wyrobem naczyń i tkanin, plecie łapcie z łyka i słomy i t. p. Czego jej braknie, temu zaradzi ten i ów wędrowny rzemieślnik,

których się mnóstwo snuje po kraju, zatrzymując się kilka dni po wsiach. Widzisz tu wędrownego kowala, blacharza, szewca, golarza, aptekarza, sprzedającego cudowne zioła i krople, nawet łatacza porcelany i szkła, który bardzo zręcznie rozbite naczynie szklane i porcelanowe reparuje. Po miastach, ciągnąc ulicami, zachwalają oni krzykliwie rzemiosło swe i doskonałość swej pracy.

Podróżnik Hesse-Wartegg spotkał raz na wsi wędrownego kowala. Poczciwiec ów miał na swych ramionach długą na wysokość człowieka, a grubą jak ręka tykę bambusową, służącą chińczykom za nosze (jak ruskie koromysło), na których zawieszają ciężary nawet znaczne i milami je przenoszą. U jednego końca bambusu wisiał miech i nieforemne kowadło, u drugiego duży kosz z kawałkami starego żelaziwa, narzędziami i workiem, a na górze była tu jeszcze rynka i garnek. Skoro stanął przed domem i rzucił z ramion swe brzemię, ustawił natychmiast kowadło na kamieniu, narzuciwszy wprzód na kamień nieco wilgotnej ziemi. Wyjął potem rynkę, napełnił ją węglami, rozrzażył i do właściwego jej otworu przytwierdził miech. Przed wzięciem się do właściwej pracy, przyniósł najprzód wody w garnku, ugotował w nim ry-

żu z jakąś warzywną przyprawą i zjadł to z wielkim apetytem. Ten sam garnek służył mu potem do chłodzenia i hartowania w wodzie naprawianego żelastwa.

I jeszcze jeden obrazek wędrownego rzemieślnika w mieście Czin-kiang nad brzegiem Jang-tse-kiangu. Dzieje się w czasie większej jakiejś uroczystości religijnej. Tysiące pielgrzymów zaległo ulice i place miasta. Obszarpany, zarośnięty mongoł przykucnął przed ulicznym golarzem, czekając na swą kolej. Zanim mu głowę na czysto ogolą, zdejmuje niebieski kaftan i rzuca go wędrownej tułaczce, która nieopodal pracy swej oddana. Lecz już go zoczył wędrowny szewc i przyskoczywszy doń, pokazuje mu znaczne uszkodzenia jego obuwia. Nawiązuje się krzykliwa rozmowa. Targują się. Nareszcie następuje zgoda, szewc ściąga mongołowi obuwie i bierze się do łatania.

Należy tu napomknąć, że szewc chiński nie ma tak trudnego zadania, jak nasz, gdyż w Chinach jest skóra znacznie mniej do obuwia stosowaną, niż u nas. Bogaci ludzie noszą zazwyczaj obuwie o filcowej podeszwie, o wierzchu i cholewie z grubej tkaniny jedwabnej, ubogi człowiek ma łapcie z łyka i słomy; obuwie ze samej skóry trafia się rzadko.

Konserwatyzm narodowy chińczyków staje i w przemyśle upornie przeciw wszystkim nowościom. Poprawniejsze narzędzia europejskie usuwa chińczyk z niechęcią i daje pierwszeństwo swoim starym, niezgrabnym i niedołężnym, bo do nich od pokoleń nawykł. Ułatwień, płynących np. z podziału pracy, nie uznaje i trzyma się odwiecznych metod pracowania. Braki tych metod wynagradza natomiast niezmordowaną pilnością. Stąd idzie, że trzymając się swych starych narzędzi i metod, zapanowuje nad gałęziami drobnego przemysłu nietylko w swej ojczyźnie, lecz także w obcych miastach dalekiego Wschodu. Krawiectwo i szewstwo mają niezrównanych wykonawców w chińczykach. Umieją oni z łatwością zastosować się do różnych wymagań i fasonów mody europejskiej, naśladując dane im wzory z zadziwiającą wiernością, chociaż maszyny do szycia nie chcą znać i pospolicie jej nie używają. Trzeba się tylko strzedz — jak się to zdarzyło jednemu z podróżników—ażeby nie dać chińczykowi na wzór bardzo starego odzienia, bo i w nowem wykona z bajeczną wiernością łatę na łokciu lub kolanie.

Konserwatyzm rzemieślników chińskich jest tak uporczywy, że nawet z daleka od swej ojczyzny, jak np. w Kalifornji, nie da-

dzą się owładnąć nowym sposobom i narzędziom pracy, a w danym razie sprowadzają sobie z Chin własne narzędzia, artykuły odzieży i t. d. A jednak są artykuły przemysłu europejskiego, które sobie wstęp do Chin zwycięsko wywalczyły — np. igły. Igłę znał chińczyk oddawna, kuł mozolnie, każdą z osobna, przekłówał ręcznie dziórkę, polerował i ostrzył. Było to narzędzie dość grube i niezgrabne. W tem dostał do rąk papierek igieł angielskich z Birminghamu. Dla dam chińskich była to pokusa niemała, lecz odstraszał je czarny papier, w który pospolicie zawijają igły. Uwiadomione o tem fabryki birmingamskie zaradziły złemu, poczęły dla dam chińskich pakować igły w papier czerwony—i igła europejska zapanowała nad Chinami. Dziś wnika coraz silniej w lud i w głąb Chin.

Tak samo uznali chińczycy pożyteczność szkła taflowego, którego wprzód nie znali, używając do okien swojskiego papieru, a na zwierciadła metalu. Przed laty sprowadzano też z Europy znaczne ilości szkła taflowego—lecz niebawem wyuczyli się chińczycy sami fabrykacji tego artykułu i dziś ustał już prawie wywóz szkła europejskiego do Chin. Łatwem było również zaprowadzenie nafty do oświetlenia, której chińczycy przedtem nie używali. Przez długie lata

trwał potem znaczny wywóz lampek naftowych do Chin—ale teraz wyrabiają już sami chińczycy w Kantonie masę lamp i wywożą je w głąb kraju. W ten sposób wkracza więc postęp europejski w prastarą kulturę Chin, która zaznaczyła się wprawdzie kilku doniosłemi wynalazkami światowemi, lecz w dzisiejszych chińczykach nie błyska wybitną genialnością twórczą.

Że ten postęp pójdzie i musi pójść dalej, o to postarają się potężne kolosy fabryczne, które kapitałem Europy i Ameryki powstały i dalej powstają w portowych miastach Chin. Potężne siły przyrody i odkrywane coraz częściej bogactwa kopalne idą im tu w pomoc, europejski duch organizacyi w kierownikach fabryk, a niezmordowana pracowitość podrzędnego robotnika chińskiego, wreszcie wdzieranie się kolejami żelaznemi w głąb kolosalnego lądu chińskiego, zapewniają im powodzenie.

Już w roku 1900 liczono w środkowych Chinach 33, a w południowych — 20 urządzonych po europejsku przędzalni jedwabiu i 14 przędzalni bawełnianych z 500,000 wrzecionami. Nadto liczono 3 fabryki albuminu, 2 młyny parowe i kilka innych przedsiębiorstw fabrycznego przemysłu.

Sam rząd chiński, ze względu na organizację zbrojną, ujrzał się zniewolonym do zakładania hut żelaza i lejarni dział na wzór europejski i z pomocą wstrętnych mu, lecz nieodzownych inżynierów z Europy lub Ameryki.

Szczególną skwapliwością w przyswajaniu sobie wielkiego przemysłu europejskiego odznaczył wicekról prowincji Kwang w południowych Chinach, Czan-czi-tung. Już w roku 1887 przedstawił on rządowi projekt kolejowego połączenia Pekinu z Hankowem. Dla podniesienia przemysłu żelaznego zakupił od anglików w Kantonie całą wielką hamernię i walcownię żelaza i razem z obcymi inżynierami przetransportował ją do bogatej w rudę i węgiel prowincji Hunan. Następnie założył dwie przędzalnie dla jedwabiu i dwie dla bawełny olbrzymich rozmiarów. Jego usiłowaniom przypisać także należy stworzenie lejarni armat i wielkiej fabryki broni.

Tak więc pod wpływem konieczności zaczyna i w chińskim przemyśle wiekowy zastój łamać się pod naciskiem niepowstrzymanych prądów postępu.

XII. Kopaliny i górnictwo.

Bogactwo kopalin w kraju tak górzystym jak Chiny — o ile dotychczasowe badania geologiczne wskazują — jest bardzo znaczne, lecz jak dotąd za mało eksploatowane.

Największą część złota otrzymują chińczycy przez przepłukiwanie żwirów rzecznych w górnym Jank-tse-kiangu i górskich rzekach Junanu. Najwydatniejsze z kopalń złota znajdują się w Kwei-czou i Mo-ho nad Amurem. Krążyły także pogłoski o półwyspie Szan-tungu, iż ma bogate żyły złota i ściągały kalifornijskich poszukiwaczy. I rzeczywiście, natrafono na złoto koło Ning-hai i wydobywają je tam od roku 1890, lecz nie w tak wielkich iiościach, jak się spodziewano.

Najobfitsze kopalnie srebra są w prowincjach Junan i Pe-czi-li. Tak samo wydobywają miedź w dość znacznej ilości w górach Junanu. Wyborne rudy żelaza znajdują się w bardzo wielu miejscowościach.

O wydobywaniu złota, srebra, miedzi i żelaza mówią kroniki chińskie już na 2,000 lat przed Chrystusem. Wogóle wytapianie i obróbka tych metali, choćby nie tak da-

wna, należy do starożytnej kuitury chińczyków.

Pewne ilości cyny produkuje Junan, lecz znaczniejsze ilości przywożą z wyspy indyjskiej Bangka. Rtęci jest dość dużo w prowincjach Junanu, Szeczuanu, Kwang-tung, Kweiczou i Kansu, rud ołowianych, często w połączeniu z rudami srebra, w prowincjach Honan, Cze-kiang, Fu-kien i Szeczuan.

Z kamieni użytkowych i ozdobnych należy wymienić granit, porfir, marmur, jaspis, agat, chalcedon, kryształ górski, ametyst, opal, lazulit, turkus i inne. Z drogich kamieni znajdują się w Chinach rubin, szafir i topaz.

Kopalni soli kuchennej nie posiadają Chiny, wydobywają ją jednak w znacznych ilościach przez wywarzanie wody słonej ze studzien artezyjskich w Junanie i Sze-czuanie, przyczem zasługuje na uwagę, iż do palenia pod kotłami używają gazu palnego, który się z tych samych studzien wydobywa. Wiele soli wywarzają również z jeziora słonego Lutsun w prowincji Szan-si i na wybrzeżach morskich, gdzie ją z wody morskiej wydobywają.

Bardzo cennym i od wieków na najpiękniejsze wyroby ceramiczne używanym materjałem, jest wyborny „kaolin“, czyli glin-

ka porcelanowa. Sama nazwa kaolinu, przeniesiona na wynajdywane późniei w rozmaitych krajach glinki porcelanowe, pochodzi od miejscowości Kao-ling w prowincji Kiang-si, gdzie ją chińczycy eksploatują.

Lecz największem może, chociaż dziś jeszcze słabo wyzyskanem bogactwem górniczem Chin, jest węgiel kamienny. Zdaniem geologów tylko jedne Stany Zjednoczone północnej Ameryki mogą się pod tym względem równać z Chinami. Pojawia się on w warunkach, ułatwiających eksploatację, ą częstokroć łączy się wprost z pokładami rudy żelaznej, tak, że w jednej i tej samej miejscowości daje gotową podstawę do rozwinięcia najpotężniejszego przemysłu. Wedle badań Richthofena, największe zagłębia węgla kamiennego posiadają prowincje Szen-si i Szansi na północy, a Sze-czuan na południu, gdzie mają one się one rozciągać na 33.000 klm. kw., dochodząc grubością pokładów do 6 i 9 metrów.

Formacje węgla kamiennego są tu podobne do formacji w innych częściach świata. Rozróżniają w nich trzy grupy pokładów; na spodzie potężny pokład wapienia węglowego, który w północnych Chinach ma barwę ceglasto-brunatną lub obłoczkowo-czarniawą, powyżej właściwe, naprzemian zmieniające się warstwy łupka i ławi-

ce węgla, w górze zaś charakterystyczne piaskowce i piaski formacji węglowej.

Podróżnik dr. Tiessen, który stosunki geognostyczne Chin badał, pisze, że od miejsc, w których płaskowyże Szan-si stromemi terasami w zagłębia dużej płaszczyzny spada, aż ku ostatecznym granicom państwa na zachód, może nawet w głąb pustynnego obszaru aż po Tien-szan, rozciągały się pola węglowe, w części odkryte, w części płytko pod powierzchnią, i tworzą stokroć potężniejsze od wszystkich innych zagłębie węglowe, największy i nietknięty dotąd magazyn węgla na ziemi.

Wartość węgla kamiennego jest chińczykom oddawna znaną. Wspomina o nim już jedno z dzieł z III stulecia przed Chrystusem. Marco Polo w relacji ze swych podróży wyraża zdziwienie, że chińczycy używają czarnej ziemi do palenia. Jakkolwiekbądź, eksploatacja węgla w Chinach nie przybrała dotąd znacznych rozmiarów. Najczynniejsze jeszcze są te kopalnie, z których można dowozić węgiel okrętom do portów. Do takich należą kopalnie połączone już dziś za pomocą kolei z wybrzeżami morskiemi, jak Kajping w prowincji Peczyli, Jentaj w Mandżurji, Wei-szien w Szantungu i inne.

Węgiel z Szantungu, równy niemal pod

względem dobroci węglowi angielskiemu, znalazł nadzwyczaj gorących opiekunów w Niemczech, po zajęciu poblizkiego okręgu nadmorskiego Kiau-czou przez cesarstwo niemieckie. Kopalnie szantuńskie stały się źródłem opału okrętów niemieckich na odległych morzach, skąd też i przemysł górniczy w Szantungu idzie obecnie bardzo szybko w górę.

XIII. Jedwab chiński.

Obok herbaty, jedwab jest w Chinach jednym z najważniejszych artykułów przemysłu i handlu. Ludność całych prowincji, mężczyźni, kobiety, dzieci, zajęta jest hodowlą gąsienicy jedwabniczej — całe miliony przędą jedwab i tkają zeń na ręcznych krosnach przepyszne materje. Wartość jedwabiu, wywożonego corocznie z Chin do Europy i Ameryki wynosi przeszło 100 miljonów rubli, bez porównania więcej zaś zużywa go ludność samych Chin na ubrania i na ofiary dla bóstw. W samym Pekinie płoną co roku na ołtarzach chińskich świątyń tysiące sztuk tkanin jedwabnych, ofiarowanych bó-

stwom przez cesarza i książąt cesarskiego domu.

Chiny są właściwą ojczyzną prządki jedwabniczej i jej cudownego włókna. Tam ją zaczęto przed wiekami chodować i stamtąd rozeszło się jedwabnictwo po całym świecie. Tradycja chińska mówi, że pierwszą, która zaczęła prząść i tkać jedwab, była żona cesarza chińskiego Huang-Li, żyjąca w 26 wieku przed Narodzeniem Chrystusa. Czczoną też jest przez chińczyków, jako bogini. Na cześć jej odbywa się co roku w Pekinie wielka uroczystość. W okazałym orszaku udaje się pierwsza żona cesarza do świątyni Yuen-fi—taką bowiem nazwę dano boskiej wynalazczyni jedwabiu—i ścina tu złotemi nożyczkami listki z drzewa morwowego. Za nią czynią to samo księżniczki i damy dworskie, używając srebrnych nożyczek i dają te listki na spożycie chodowanym w świątyni gąsienicom jedwabnika. Potem biorą z rąk kapłanów oprzędy i snują z nich cieniuchne nitki jedwabiu.

Jest to poniekąd apoteoza pracy nad jedwabnikami, hołd oddany przemysłowi jedwabniczemu przez najwyższe sfery dworskie.

Jedwabnictwo trzymane też jest w Chinach w wysokiem poszanowaniu. Prawie że naturę swą zmienia chińczyk, aby wy-

chować jedwabniki i zyskać cenny ich produkt. Wbrew dość pospolitej niechlujności mieszkań chińskich, odznaczają się szopy, przeznaczone na chów jedwabników, bajeczną czystością, bo istnieje uzasadnione może u chińczyków przypuszczenie, że gąsienica jedwabnicza nie znosi wszelkiego brudu i kurzu. Czysto odziana rodzina chodowców znosi do szopy liście morwowe i żywi niemi gąsienice. Mimo krzykliwego z natury usposobienia, zachowują się wó..czas wszyscy nadzwyczaj cicho, rozmawiają szeptem, wstrzymują się od jedzenia cebuli i czosnku, bo uważanem jest za pewnik, że jedwabnik nie znosi hałasu i wszelkiej woni silniejszej.

Wszędzie, gdzie tylko znajdzie się puste miejsce wśród pól ryżowych i kultur herbaty, sadzi chińczyk drzewo morwowe na żer dla jedwabnika, często zaś trafiają się całe, zwarte kultury morwy, na których, w oddaleniu dwu metrów jedno od drugiego, sadzone są drzewa morwowe Drzew tych nie puszcza się w górę, lecz obcina ciągle na wysokości półmetrowej, tak, że odnawia się na nich co roku wiele świeżych pędów i drzewka przypominają poniekąd swym kształtem nasze wierzby ogłowione, tylko karłowe. Obcinana w ten sposób morwa

da się przez 50 do 60 lat utrzymać i dostarcza zawsze dużo soczystego liścia.

Żywienie gąsienic trwa przez trzydzieści dwa dni. W ciągu tego czasu gąsienica, wyglądająca po wylęgnięciu się z jajka, jak niteczka czarna, o długości ćwierci centymetra, staje się długą i grubą jak palec, i nabiera barwy perłowo-popielatej. Wtedy wiesza chińczyk w szopie wiązeczki czystej słomy, na które wyłażą gąsienice, poczynają koło siebie snuć cieniuchną przędzę jedwabiu i okrywają się całkowicie tą przędzą.

Najokazalsze z oprzędów są w małej liczbie wyłączane. Z nich wykluwają się po dziesięciu dniach ćmy jedwabnicze, przegryzłszy jedwab oprzędu, i wkrótce składają jajka, jak małe płaskie pacioreczki na podsuniętych im kartkach papieru. Każda ćma kładzie około 500 jajek, niewiele więc oprzędów stosunkowo potrzeba, ażeby sobie na drugi rok nowe pokolenie gąsienic jedwabniczych zapewnić. Wszystkie inne oprzędy (kokony), wystawia chińczyk na działanie gorąca rozżarzonych węgli drzewnych i tym sposobem zabija żyjące w nich poczwarki, tak, że się już z nich ćma wylęgnąć nie może i oprzędu nie przegryzie.

Otóż następuje robota koło przędzenia cieniuchnych niteczek z oprzędów, które są

w gorącą wodę rzucane, ażeby rozpuścić kleistą masę, jaką niteczki są spojone. Po rozsnuciu całego oprzędu pozostaje zabita poczwarka, która także nie idzie w Chinach na marne. Odpowiednio przyprawiona, staje się przysmakiem, łechcącym bardzo chińskie podniebienie.

Są już dziś gdzieniegdzie, jak w Szanghaju, Macao, Kantonie i Czifu mechaniczne przędzalnie jedwabiu, lecz bardzo przeważna część jedwabiu przędzona jest po chatach ręcznie i również ręcznie na krosnach bardzo pierwotnej konstrukcji, tkane są po dziś dzień przecudne i drogie materje jedwabne, ciężkie brokaty, nieraz ręcznym, niesłychanie pracowitym haftem obustronnym zdobione.

Od wielu wieków jeszcze podziśdzień jest środowiskiem przemysłu i handlu jedwabiem chińskim miasto Hang-czu, stolica prowincji Cze-kiang, niedaleko zatoki tejże samej nazwy i miasta portowego Ningpo w Chinach środkowych. W XII i XIII w. była to stolica całego państwa chińskiego i wzbudzała podziw sławnego podówczas podróżnika, wenecjanina Marco Polo, który pierwszy podał wielce ciekawe wiadomości o Chinach. Wedle niego miasto Hang-czu ma sto mil obwodu, 160.000 domów, 12.000 kamiennych mostów, a każdy strzeżony przez 10 żołnierzy —

jednem słowem „najpięknjejsze miasto świata“, o dwumilionowej ludności. Że wenecjanin nie bardzo przesadzał w swych opisach, świadczą liczne świątynie, pagody, resztki pałaców cesarskich i baszt obronnych, na które natrafia podróżnik jeszcze dzisiaj w okręgu kilku kilometrowym od Hangczu, wśród pól i bagien. Widocznie tak daleko sięgał obwód ówczesnej stolicy Chin. Do XII wieku odnieść należy stojącą dotąd nad brzegiem rzeki Tsien-tang pagodę „sześciu harmonji“, a jeszcze starszą od niej jest pagoda „grzmiącej skały“, olbrzym, wymurowany z palonej cegły do wysokości 70 metrów.

Zdarzały się chwile, w których podupadał przemysł jedwabniczy. Tak było przy końcu XIII wieku, gdy do Chin wprowadzono z Indji o wiele tańszą bawełnę. Porzucono wówczas w ubiorach drogi jedwab, pokup się zmniejszał, jedwabniki nikły, Hang-czu traciło do reszty swe znaczenie. Lecz w XVII wieku nastąpiły żywsze stosunki z Europą, w której wywołały zachwyt jedwabie chińskie. Płacono za nie bajeczne sumy, wyrób zaczął być korzystny, rząd jął popierać jedwabnictwo, sami chińczycy wracali do szat jedwabnych — i znowu zakwitł w całej pełni przemysł jedwabniczy. A choć ucierpiał znowu w połowie XIX wieku, wskutek strasz-

nego powstania tajpingów, które zasiało ruinami całe prowincje i pozbawiło życia dwadzieścia milionów ludzi — przecież zdołał i tę klęskę przetrwać i jest ciągle jednem z głównych źródeł bogactwa dla Chin.

Dziś pod wpływem tego kwitnącego przemysłu, rozrasta się znów Hang-czu, przybywają nowe, bardziej przestronne i czyste przedmieścia, powstają coraz większe i okazalsze sklepy, po dobrze odzianych przechodniach widzieć można ogólny dobrobyt, ulice są szersze, czyściejsze i okazalsze, niż w jakimkolwiek innem chińskiem mieście, a całe dzielnice zajęli w niem pracownice i pracownicy , którzy od rana do nocy siedzą przy przędzeniu i tkaniu jedwabiu, wyrabiając tkaniny surowe i barwione, chustki na głowę, lekkie materje na suknie, ciężkie brokaty itd. Wyrób tutejszy i całej prowincji Cze-kiang rozchodzi się przeważnie w samych Chinach; zaledwie 400 pikulów (25,000 klg.), idzie na wywóz za granicę państwa. Głównym dostawcą jedwabi chińskich dla Europy jest zawsze Kanton.

XIV. Mandżurja, Mukden, groby cesarskie.

„Kraj piękny, obszerny, urozmaicony, na północy i zachodzie słabo sfalowany, stepowy, trawisty, ku południowi górzysty, na wschodzie lesisty, spiętrzony wysokiemi szczytami, pocięty wąwozami i spławnemi rzekami; kraj bogaty, żyzny, w znacznej części gęsto zaludniony i doskonale uprawny; kraj obfitujący w złoto, żelazo, miedź, glinkę porcelanową, w węgiel, w drzewo przedniego gatunku, jak: dąb, buk, klon, cedr, modrzew, sosnę, w drzewa owocowe i drzewa morwowe; kraj pełen zwierzyny: kóz, jeleni, danieli, antylop - cerenów, dzikich osłów (kulanów), lisów, wilków, dzików, niedźwiedzi, tygrysów; kraj zdawna ukochany przez ptactwo wodne, ojczyzna bażantów i siwych gołębi, ojczyzna berkutów i sokołów; kraj zamieszkany przez ludność potulną, wielokrotnie zawojowaną i przyzwyczajoną do zaborów" — oto jędrny opis, jakim charakteryzuje Mandżurję podróżnik Sieroszewski.

W historji Chin odgrywa Mandżurja rolę niepoślednią.

W VII wieku po Chr., pod panowaniem cesarza Taitsuna z rodu Tang, stały Chiny wysoko, jako państwo potężne, prowadzące handel swemi płodami i wyrobami w najodleglejsze strony świata. Lecz już w następnym wieku nastąpiły tak częste rewolucje wewnętrzne i zmiany tronu, że państwo rozpadało się w kawały, aż w końcu stało się (1214 r.) łupem dzikich hord mongolskich pod wodzą Dżengiskhana. I zakwitło znowu pod ręką Kubłaj-khana i stworzonej przez niego dynastji „Yuen", która do 1368 r. panowała. W roku tym pada ostatni cesarz dynastji mongolskiej, a tron przywłaszcza sobie odważny wódz południowo-chińskiego pochodzenia, panuje jako cesarz Hung-wu i zakłada nową dynastję „Ming". Panuje ona do roku 1644 i za jej czasów rozpada się w proch wielkie państwo mongołów. Otóż w wieku XVII przypada na mandżurów kolej, ażeby się stali żywiołem odradzającym dla wielkiego państwa niebieskiego i równocześnie sami się w niem rozpłynęli.

Już w roku 1618 powiodła się mandżurom ekspedycja rabunkowa na bogate Chiny. Rozgromili wówczas wojska cesarskie i nabrali odwagi do dalszych napadów. W roku 1629 wybrali się ze znaczną siłą na północne Chiny, lecz nie oparli się jeszcze

w Pekinie. Dopiero gdy równocześnie zaczęły się bunty wśród ludności chińskiej, gdy Pekin wpadł w ręce zbuntowanych, a ostatni cesarz dynastji Ming powiesił się w obliczu płonącej stolicy — skorzystali mandżurowie z ogólnego zamieszania, zajęli Chiny i Pekin w jesieni 1644 r. i odtąd panują Chinom cesarze mandżurskiej dynastji. Jest to epoka znacznego rozwoju i uporządkowania stosunków państwa niebieskiego. Potężny cesarz Kang-chi (1662 — 1722) wchodzi pierwszy za pośrednictwem jezuitów w rozliczne stosunki z Europą, syn jego Szi-tsun, opiekuje się szczególnie rolnictwem i podnosi je, cesarz Kien-lon (1736 do 1796) jest wielkim protektorem nauk i sztuk, a z panowaniem syna jego wchodzą już Chiny w wiek XIX i rozliczne zatargi z Europą.

Lecz to plemię zaborcze, które narzuciło Chinom swoich cesarzy, jest od wieków przez Chiny cywilizacyjnie zabrane. „Chińczycy pochłonęli je, przerobili, na wszystkiem wycisnęli swe twórcze piętno“ — mówi Sieroszewski. „Obecnie i język mandżurski znika i mandżurów nie zostanie ani śladu“. Pierwotni koczownicy mandżurscy, którzy mieszkają po wsiach i miastach, trudnią się rolnictwem i handlem, służą w wojsku czy administracji, przyjęli już całkowi-

cie odzież i obyczaje chińczyków. „Wprawne jeno oko — pisze Sieroszewski — dostrzeże różnicę w typie, w postawie i w twarzy. Mandżurowie mają zwięzłą, smuklejszą figurę, suche, garbate nosy, drapieżne, zawiędłe twarze, oczy mają węższe, ukośne. Chińczycy są mięsistsi od nich, często roślejsi, lecz mniej zgrabni, twarze mają owalne, oczy dość duże i wcale nie skośne, o łagodnem, smutnem spojrzeniu".

Stolicą i sercem Mandżurji jest miasto Mukden, nad rzeką Hun, jedna z ważniejszych stacji kolei wschodnio-chińskiej i ognisko bardzo ożywionego handlu. Jest to dawny gród, okolony na przestrzeni 15 kilometrów starym, w wielu miejscach już porozwalanym murem z gliny palonej. Wewnętrzną część miasta, zwaną „miastem cesarskiem", otacza silniejszy mur kamienny, zaopatrzony wieżami. Od czasu wybudowania kolei, a jeszcze bardziej od chwili zajęciu Mandżurji przez Rosję, zaczął Mukden, dawniej rdzennie chiński, przybierać szatę bardziej kosmopolityczną, dzieląc w tym względzie los wszystkich miast Dalekiego Wschodu, do których się zbliżyła Europa.

Sieroszewski tak opisuje swój przyjazd do Mukdenu.

„Słońce już gasło i zacieniona ulica wyglądała jak ciemne rojowisko. Ponad tem, w górze, w promieniach zorzy, gorzał słoneczny tuman złoconych znaków kupieckich, rozwiewały się czerwone i żółte chorągwie, kołysały barwne latarnie. A po za tem w dali majaczyły mgliste, rogate wieżyce. Oczu oderwać nie mogłem od tego cudnego, oryginalnego obrazu, nie wiedząc czemu się przyglądać: czy mierzchnącym szybko deseniom światła w górze, smokom i okapom wygiętym, czy świetnym wystawom sklepowym, dziwacznym, jaskrawo ubranym postaciom, posuwającym się w dole. Jechali i szli, konni, piesi, na wózkach i „rykszach“. Ubrani w jedwabne, powłóczyste stroje, wyszyte bogatemi, barwnemi haftami, przewijali się przez tłum szary i niebieski zwykłych przekupniów i robotników, jak barwny szlak gzemsów w ich świątyni przewija się w zmroku zacienionych pował. Dotychczas nie widziałem jeszcze takich procesji znakomitych, bogatych i wytwornie odzianych chińczyków. Poczułem, że jestem w jednem z ognisk ich cywilizacji...“

„Nazajutrz — pisze w dalszym ciągu Sieroszewski—zwiedziłem pałac cesarski, a raczej jego ruiny. Kryty polewaną, żółtą dachówką, suto ozdobiony laką czerwoną, nie-

bieską, zieloną, złocony, rzeźbiony, ze ścianami wyłożonemi śliczną majoliką, musiał on niegdyś stanowić piękny okaz chińskiej architektury. Obecnie wszystko to opadło, pokruszyło się, poblakło, obszerne dziedzińce gęsto porosły zielskiem kolczastem: lwy kamienne potraciły nosy, majolika połupała się, laka poczerniała. Nawet piękna baszta „Feniksa“ wygląda jedynie jak zrudziały szkic ślicznego pawilonu. Wewnątrz pusto: śmieci, opadłe tynki, kurz. Cenne przedmioty: rękopisy, obrazy, odzież, insygnja i regalja, zamknięte w pudła, spoczywają w szafach, niby w sarkofagach. Nikt z nich nie korzysta, nie widzi ich, tleją zwolna, nie słysząc nawet głosów ludzkich, gdyż nikt tu nie chodzi, z wyjątkiem dziań-dziunia (gubernatora), który z obowiązku to czyni raz na rok“.

O pięć kilometrów od Mukdenu znajdują się groby chińskich cesarzy z panującej obecnie dynastji mandżurskiej.

Kto zna szczególniejszą cześć, jaką chińczycy otaczają pamięć zmarłych i ich groby, zrozumie, jak wielkie znaczenie dla dworu cesarskiego w Pekinie ma stolica Mandżurji. Dawniej członkowie dynastji mandżurskiej uważali za swój obowiązek co parę lat odwiedzać Mukden i odprawiać tu ceremonialne nabożeństwo, poświęcone pamię-

ci przodków. Dziś oziębły te uczucia czci, to też podobnie jak pałac cesarski, tak i groby przodków zaczynają się powoli w gruz rozsypywać.

Grobowce cesarskie leżą wśród ślicznego lasu sosnowego.

„W bezleśnej, nagiej równinie — pisze Sieroszewski — już samo tak duże zbiorowisko ogromnych drzew robi wspaniałe wrażenie. Gdym się znalazł w długiej alei niebotycznych sosen, zielonych jak malachitowe kolumny od porastających je glonów, i gdy doleciał mnie mistyczny szum ich dalekich koron, mimowoli zacząłem stąpać ostrożniej po wyłożonej płytami drożynie, prowadzącej ku sarkofagom. Aleja była długa, zupełnie prosta, jak myśl o śmierci, z wązką nitką błękitu wśród konarów w górze. Na końcu jej stała piękna pagoda, a raczej wrota, mające na rogach rzeźbione dziwacznie obeliski, ukryte w klombach drzew.

Był to obszerny, starannie brukowany dziedziniec, otoczony grubym, wysokim zębatym murem, z pięknemi na rogach pagodami, ze śliczną bramą wejściową. Mały, wzniesiony na stopniach budyneczek stał wewnątrz przy ścianie przeciwległej. Była to kapliczka z tabliczkami cesarskich przodków, podobna do wielu innych. Znacznie

ciekawszym był mur z tyłu poza nią stojący przed otworem katakumb i chroniący je od złych wpływów. Ozdobiony prześlicznemi rzeźbami smoków i zwierząt, złoconych i majolikowych, wznosi się on wysoko ponad kapliczkę.

„Po zrujnowanych schodach kamiennych weszliśmy na mur i idąc wokoło, dostaliśmy się na szczyt właściwego grobowca. Sądzę, że jedynie piramidy przewyższają wspaniałością tę górę ziemi, usypaną nad drobnem ciałem śmiertelnika. Murowany z olbrzymich głazów czworobok, wysoki na 10 prawie sążni, 60 długi i tyleż szeroki, wypełniono ziemią. Na tej podstawie wznosi się równie jak ona, wysoki kurhan, okrągły, pokryty z wierzchu cementem dla ochrony od deszczów. Na nim rośnie kilka krzywych ilm".

Jest to grobowiec cesarza Tai-tsuna, właśliwego założyciela dynastji mandżurskiej. Po za nim w gaju ciągnie się łańcuch wzgórz lasem porosłych. Wszystko to są sztucznie sypane mogiły, otaczające półkolem główny grobowiec.

Właściwa droga do grobowców zamknięta jest bramą murowaną, do której prowadzi słynna aleja rzeźbionych z kamienia zwierząt, bardzo oryginalnych słoni, wielbłądów,

koni, renów i dzików. Od tej bramy, zdobnej w śliczne smoki na płytach majolikowych, idzie się po szerokich schodach na dół ku drugiej bramie marmurowej, która jest cała rzeźbiona w delikatną koronkę, a poza nią szumi już smętny sosnowy bór cmentarzyska.

Sieroszewski mówi, że ile razy ujrzał dziwnie smętne spojrzenie, właściwe chińczykowi, „spojrzenie narodu mądrego, który dużo w swem istnieniu przebolał i przedumał“, tyle razy stawała mu przed oczami ta wytworna, lekka brama, wiodąca ku wieczności...

Chińczyków w Mandżurji ocenia wogóle nasz podróżnik bardzo sympatycznie, ma dla nich współczucie i szacunek.

„Lud prosty — pisze on — jest wesoły, życzliwy i sprytny, inteligencja posiada wysokie wyrobienie towarzyskie, z nadzwyczajną łatwością i subtelnością odczuwa ruchy duszy swego gościa, nawet cudzoziemca i stara się je uszanować“.

XV. Z Tybetu.

Nie byłby pełnym roztoczony już powyżej obraz ludności cesarstwa chińskiego, jej sposobu życia i zajęć, gdybyśmy choć kilku rysami nie dotknęli jeszcze osobno Tybetu.

Ludność tybetańska jest ogniwem, łączącem typ mongolski z indyjskim. Przewalskiemu przypomina ona cyganów, jacy się po Europie włóczą. W północnym Tybecie przeważają bardziej mongolskie rysy z wystającemi kośćmi policzkowemi, i budowa ciała jest silniejszą—w południowym natomiast bardziej rysy indyjskie i budowa ciała delikatniejsza.

Cały Tybet ulega cywilizacji chińskiej, najbardziej zaś część jego południowo-wschodnia. Powszechnie noszone są warkocze i uważane za rdzennie tybetańsko-budaistyczną odznakę w przeciwstawieniu np. do mahometan, zamieszkujących południowe prowincje Chin i Tybetu, którzy głowę strzygą i podgalają.

Barwa skóry północnych tangutów-nomadów włóczących się po kamienistych płaskowyżach Tybetu, jest ciemna brudno-brunatna

w południowych jeszcze ciemniejsza; oczy czarne, zarost twarzy skąpy.

Ubraniem pokoleń tybetańskich jest przeważnie długa sukmana, w pasie przepasana, ponad pasem bufiasto sfałdowana. W zimie zastępuje sukmanę kożuch. Tybetańczyk nie wkłada zazwyczaj prawej ręki do rękawa, trzyma ją wolną, odsłoniętą, razem z częścią prawej piersi, nawet na trzaskające mrozy.

Zamiast spodni, okrywa uda skórami baraniemi, a na nogi obuwa ciepłe filcowe buty ze skórzanemi podeszwami. Mężczyźni i kobiety noszą czapy futrzane, baranie lub lisie. W niektórych okolicach kobiety przepasują głowy czerwonem suknem. Włosy splatają w dwa lub więcej warkoczów, które się schodzą na plecach w jedną kosę, nieraz wstążkami, monetkami i pierścieniami ozdobioną. Są okolice, w których tybetanka, chcąc podnieść bogactwo swych włosów, wkłada jeszcze na głowę rodzaj ogromnej peruki z włosami jaka. Inne ubierają nakształt czepeczka srebrne czarki, u majętnych nawet klejnotami zdobne.

Na piersiach tybetańczyka nie może braknąć amuletu, zazwyczaj turkusikami wysadzanego, przy boku wisi szabla przypięta do pasa, nieraz pięknej chińskiej roboty z rę-

kojeścią zdobną w korale lub turkusy. Prócz tego ma tybetańczyk nieraz dzidę i luntową broń palną, chińskiego pochodzenia, z grabkami do opierania przy strzelaniu. Do spędzania bydła i do obrony lub zaczepki służy mu także odwieczna proca.

Główną podstawą utrzymania dla nomadyzującego tybetańczyka jest „jak", potworny przeżuwacz, którego przyswoił i hoduje w stadach na pożywienie, oraz jako zwierzę juczne i pod wierzch.

Jak daleko się jak wspina, tak daleko idzie tybetańczyk, tj. na płaskowyża do 4000 m. wysokości, gdzie jeszcze krótką trawą hale porastają.

U najwyżej pnących się ladaków, w Tybecie brytyjskim, używają nawet jaka do pługa, orzącego pod jęczmień, który się jeszcze na znacznych wysokościach południowego Tybetu udaje. Na północy są jednak i suche, nagie obszary, gdzie ani zwierza, ani człowieka już się nie spotyka. Przewalski przebył w swej podróży 800 kilom. (na wysokościach 4200 do 5000 m.) zupełnej pustki.

Mięso jaka i owcy, obok mleka, są głównem pożywieniem tybetańczyków. Za napój służy herbata cegiełkowa, którą tłuką w kamiennym. moździerzu i gotują w miedzianych kociołkach. Piją ją z mlekiem. Pę-

cak, to jest łuskany jęczmień, na kaszę i kisiel, czyli mleko gotowane a potem skisłe, należą do specjałów. Napojem fermentowanym jest niechmielone kwaśne piwo jęczmienne. Wódka jest prawem zabroniona, ale dla najwyższego kapłana Dalej-lamy z Lhassy utrzymuje się stado 300 klaczy, których mleko służy na wyrób mocnego wyskokowego kumysu.

Nomadzi tybetańscy mieszkają w przenośnych namiotach, których i po kilka tysięcy na jednej hali się gromadzi.

Wyprawa kożuchów i skór, wyskrobywanych ostremi kamieniami, wyrób filiżanek i kociołków herbacianych z miedzi, poszukiwanie drogich kamieni, wyrób grubych sukien wełnianych i filcu — oto prawie cały przemysł tybetańczyków. Należy wspomnieć także o drobnych wyrobach artystycznych, ozdobach ze złota, srebra, koralu i turkusów, jak kolczyki, kolje, brosze itd,, w których, podobnie jak w typach ludności, smak indyjski i chiński się łączy.

Handel cały jest w rękach chińczyków, przeważnie jako obnośny. Handlują oni głównie herbatą cegiełkową i drobiazgami japońskiemi, z któremi zjawiają się po klasztorach buddyjskich w czasie tłumnych pielgrzymek. Podróżnik Gill twierdzi, że jedynymi w Tybecie, którzy mają pieniądze, są

chińczycy; oni też obsługują tybetańczyków, jako bankierzy i lichwiarze. Konkurencję robi chińczykowi w tej mierze tylko ksiądz tybetański, lama, który swym owieczkom na dwa procent miesięcznie pożycza.

Drogi handlowe Tybetu wiodą ku zachodniej Mongolji, ku rosyjskiemu Turkestanowi i ku Sze-czu-anowi, z którym chińska część politycznie jest związaną. Z Nepalu, z południowych stoków Himalajów, przywożą do Lhassy sukno i towary metalowe. We wschodnim Tybecie kwitnie handel znanym w lecznictwie korzeniem rabarbarowym.

Cały handel odbywa się karawanami, pod osłoną zbrojnych, bo drogi wcale nie są pewne. Rozbojami i łupieniem karawan wsławili się przedewszystkiem tanguci północnego Tybetu. Przewalski charakteryzuje ich jako ludzi ponurych, mrukliwych, którzy się nigdy nie śmieją. „Nie ma w nich ani iskry sumienia — mówi rzeczony podróżnik — są najbezwstydniejszymi kłamcami i oszustami". Mongołowie, których karawany są, co prawda, głównym celem rozbojów tangutyjskich, mówią o tangutach, że „ich dusze są czarne jak sadza".

Wręcz przeciwnie wyraża się ks. Desgodins o tybetańczykach wschodnio-południowych. „Odznaczają się nietylko swą wspa-

niałą postawą, lecz także swą powagą i spokojem wśród krzykliwego, miejskiego tłumu chińczyków"—pisze o nich.

Tybet jest wogóle mało jeszcze znany z powodu fanatyzmu, z jakim tybetanie bronią doń wstępu cudzoziemcom. Podżegani są w tym względzie przez swoich lamów, którzy nie pragną wcale, ażeby się obcy gospodarce ich teokratycznej w Tybecie zblizka przypatrzyli. Odkąd jednak oddział wojsk angielskich pod wodzą pułkownika Macdonalda (1904 r.) stanął w Lhassie, tajemniczej stolicy Tybetu i siedzibie najwyższego tybetanów kapłana, dowiedział się świat więcej o tym kraju.

Czem jest dla katolika Rzym, dla mahometanina Mekka, tem jest dla wyznawcy Buddy Lhassa, miasto, złożone niemal z samych klasztorów i świątyń. Środek miasta zajmuje klasztor z największą w całym Tybecie świątynią trzypiętrową, która błyszczy już zdala czterema złoconemi dachami. Jest to siedziba rządu teokratycznego, władającego krajem przy współudziale reprezentanta cesarskiego z Pekinu. Nieopodal wznoszą się klasztory ze szkołami duchownemi, pod kierunkiem lamów, i rodzaj instytutu medycznego dla kapłanów.

Sama rezydencja Dalaj-Lamy, nosząca nazwą Buddah-Lha (szczęście mądrości), jest

na obszarze całego państwa chińskiego — nie licząc krzewiącego się chrystjanizmu — utrzymują się w zgodzie obok siebie cztery formalne religje, to jest taoizm, wyznanie Konfucjusza, budaizm i mahometanizm.

Twórcą taoizmu jest mądrzec Loao-tse, urodzony w roku 604 przed Chr. Zajmował on zrazu stanowisko historyka cesarskiego i spisywał dzieje Chin, porzucił je wszakże, poszedł w kraj, nauczał i zniknął bez śladu. Naukę swą zawarł w księdze Tao-te-king, pisanej w stylu pełnym przenośni, rozwikływanych następnie przez licznych komentatorów. Treścią tej nauki jest cześć dla najwyższego rozumu Tao, który jest także najwyższą cnotą. Duch człowieka pochodzi od tej najwyższej siły — w ciało przyobleka się na ziemi. Porzucenie ziemi a powrót do nieba, do Tao, jest największem szczęściem człowieka. Chcąc to osiągnąć, powinien człowiek poskramiać swoje namiętności, umartwiać ciało i rozmyślać w samotności nad wielkością Tao. Ascezja przeto i pewien mistycyzm marzycielski charakteryzują tę naukę.

Nie mogła ona pozostać wśród ludu, jako myśl oderwana. Wcieliła się rychło we formy i rytuały pełne zabobonów, wydała stan kapłański, posiłkujący się magją, nekro-

mancją i oparła się o przesądną astrologję, która dotąd odgrywa niepoślednią rolę w codziennem życiu chińczyka.

To też taoizm spadł najniżej i utrzymuje się dziś jako religja gminu we właściwych Chinach, a cesarz tylko dla formy składa parę razy do roku ofiary na ołtarzach taoistów.

Sam Lao-tse stał się mytem, świętym, bogiem, jako „stare dziecię". Legenda opowiada o nim, że został poczęty za pośrednictwem spadającej gwiazdy, przez 81 lat pozostawał w łonie matki, a gdy przyszedł na świat, miał już włosy i brwi siwe. Jest też bogiem długiego życia i przedstawiany bywa jako starzec siwy o uśmiechniętej, dobrodusznej twarzy i o czaszce ku górze nadzwyczaj rozwiniętej.

W pół wieku po założycielu taoizmu, w r. 551 przed Chrystusem, przyszedł na świat w dzisiejszej prowincji Szantung większy od niego reformator religijnych pojęć i obyczajów w Chinach, Konfucjusz (Kong-fu-tse). Postanowił on ziomków swych dźwignąć z upadku moralnego przez powrót do dawnych cnót i zwyczajów patrjarchalnych i utrwalić na ich podstawie potężny kodeks etyczny. Nie tworzy on też religji i kościoła, ale i działa jako filozof moralny. Że zaś umie trafić do usposobienia ludu, liczy się

z trzeźwością charakteru chińskiego i z głębokiem poszanowaniem wszystkiego, co jest tradycją, łączącą ich z przodkami — pozyskuje miliony wyznawców i do dziś jest bussolą dla obyczajów w Chinach, podstawą religji wyższych, urzędowych warstw ludności.

Konfucjusz nie zapuszcza się w dociekania metafizyczne, nie myśli tłumaczyć rzeczy nadprzyrodzonych — pozostaje na ziemi i porządek moralny jest głównym przedmiotem jego nauki. „Jakże mogę—są słowa Konfucjusza—wiedzieć cośkolwiek o niebie, kiedy poznać dobrze to, co się dzieje na ziemi, jest bardzo trudno".

„Nie nauczyłeś się dobrze żyć — mówi gdzieindziej do jednego ze swych uczni—a już myślisz o tem, co cię spotka po śmierci". Są to, jak gdyby zdania, wygłoszone przez nowoczesnych pozytywistów, którzy nie chcą rozstrzygać o wszystkiem tem, czego zmysłami zbadać nie są zdolni.

Nauka Konfucjusza mieści się w księgach, dziś za święte i klasyczne uważanych, w których wielki reformator zebrał wiadomości o najdawniejszych władcach Chin (Szu-king) i stare pieśni (Szi-king) dalej w księdze Lun-ju, gdzie rozmowy Konfucjusza z uczniami i zapatrywania jego zebrano, wreszcie w księdze Meng-tse, noszącej nazwisko naj-

znakomitszego ucznia Konfucjusza, a zajmującej się kwestjami etyki i filozofji państwowej.

Kształcenie serca, pokonywanie namiętności i żywot cnotliwy, oto osie, około których obraca się nauka Konfucjusza. Serce ludzkie przyrównywa on do rozhukanego konia, który nie słucha wędzid'a, albo do potoku pędzącego z gór, albo do wybuchającego płomienia i każe nie czekać, aż się te dzikie siły rozpętają, ale wcześnie hamować je i trzymać na wodzy. Człowiek jest z natury dobrym, a rozsądek nakłania go do uczciwości. Przykładem dla jego życia jest porządek i prawidłowość w przyrodzie. Jeśli się sprzeniewierza swej dobrej naturze, popełnia grzech, mąci harmonję świata, czyni siebie i naród nieszczęśliwym.

Jest więc pięć głównych cnót, które Konfucjusz dla życia przepisuje: ludzkość, mieszcząca w sobie obowiązki dzieci względem rodziców i poddanych do panującego; przywiązanie rodzeństwa między sobą; miłość małżeńska i przyjaźń — uległość prawom—przyzwoitość w obcowaniu z ludźmi i obrzędach religijnych — mądrość i wierność.

Na zasadach Konfucjusza oparł się cały patryarchalny ustrój społeczeństwa i polityczne budowa państwa chińskiego. Poprze-

stawanie na małem, szukanie szczęścia w mierności, ślepa uległość cesarzowi, obowiązek panującego, aby nie dopuszczał do grzechu jednostek i w obronie narodu karał przestępstwa, a wynagradzał cnotę — oto żywioły państwowego cementu, który przez tyle wieków Chiny w jedności utrzymuje.

Począwszy od IV w. po Chr. zyskał także buddaizm bardzo wielu wyznawców w Chinach i w Mongolji, a wyłącznie panującym jest w Tybecie.

W r. 623 przed Chrystusem, na podgórzu Nepalskich Himalajów, w książęcem pokoleniu Sakja, w rodzie Gotama, przyszło na świat dziecię, które miało się stać wielkim reformatorem religijnym. Młody Gotama otrzymał staranne wychowanie wśród zbytków, ożenił się wcześnie, został ojcem—lecz już w 29 r. życia sprzykrzył sobie życie wśród wygód. Chwyciła go głęboko za serce nędza i nieprawości gniotące ludzkość—porzuca więc pokryjomu wspaniały zamek, odsyła konia, broń i klejnoty — a sam ginie wśród mas ludu, jako żebrak, okryty łachmanami, aby poznać jego niedolę i wynaleźć na nią leki.

Po siedmiu latach zaczyna pod nazwą Buddy (Oświeconego) występować jako reformator i w naukach swych zwraca się

przeciw kastom, przeciw wedom i opartemu na nich surowemu bramanizmowi. Nauka jego, to nauka cierpienia. Wszystko, co istnieje, poddane jest cierpieniu — źródłem cierpień są ludzkie namiętności — pokonanie namiętności jest pokonaniem cierpienia — a droga wiodąca do tego, jest świętą drogą, którą Budda opiera na całym systemie etyki, regulującej życie człowieka na ziemi.

Pięć przykazań tej nauki obowiązuje dziś wszystkich budaistów. Mówią one: Nie zabijaj! Nie kradnij! Nie prowadź życia wstecznego! Nie kłam! Nie używaj trunków upajających! W sercu swem żyw miłość bliźniego, dla ludzi, i dla zwierząt, i miej rękę otwartą dla dzieł dobroczynnych.

Blizkie pokrewieństwo między zasadami etycznemi wszystkich tych trzech religji sprawiło, że zbliżyły się ku sobie, pozapożyczały i co do form zewnętrznych i co do przepisów religijnych i żadna nie zachowała w całości pierwotnego swego charakteru.

Odrębny stan kapłański, nie organizowany wcale przez Buddę, wytworzył się jednak w ciągu wieków najsilniej w tej właśnie religji. W XIII wieku przychodzi nawet do istnej władzy teokratycznej w Tybecie. Osobni kapłani, „lamowie“ to jest tyle, co matki dusz i stojący nad nimi najwyższy ka-

płan, rezydujący w Lassie, namiestnik Buddy, Dalai-Lama, są właściwym rządem ludności. U boku tylko tej duchownej władzy stoją wysyłani do Lhassy mandaryni chińscy. Podobny stosunek wytworzył się następnie z przyzwoleniem Chin w Mongolji. zbyt oddaleni od Lassy mongołowie przywożą sobie stamtąd własnego Lamę, którego zwią Bogdo-Gegenem, osadzają go w Urdze i wielkim kosztem utrzymują go tam z całym sztabem kapłanów.

Dwór chiński dał pozwolenie na siedmiu z rzędu takich naczelników kościoła mongolskiego. Dzisiejszy Bogdo-Gegen jest siódmym z rzędu i jeśli ten umrze, przepowiają rozruchy w Mongolji przeciw Chinom, gdyby się na dalszy szereg Bogdo-Gegenów nie zgodziły.

Dalai-Lama jest pierwszem wcieleniem Buddy, Bohdo-Gegen odgrywa rolę drugiego zastępcy Buddy, który w umysłach ciemnych tłumów przestał być już dawno reformatorem, a czczony jest jak bóstwo w charakterystycznych siedzących posągach.

W ślad za osobnym stanem kapłanów wydał z siebie buddaizm najbardziej skomplikowane i błyskotliwe obrzędy, dalekie od pierwszej prostoty nauk Buddy i stanowiące chorobliwą ich narośl.

Potrzeba szukania i badania Nirwany, to jest spokoju w nicości, który schodzi na człowieka po ukojeniu cierpień przez pokonanie namiętności—dała powód w buddaizmie do tworzenia klasztorów męskich, a nawet żeńskich, które dziś po górach Tybetu, w Mongolji i Chinach są rozsypane. Do klasztorów tych odbywają się tłumne pielgrzymki, a nabożeństwom towarzyszy okazałość, działająca silnie na zmysły pobożnych. Dzwony, figury świętych, kadzidła, świece zapalone, relikwje, różańce, wota itp., przypominają nieco swą stroną zewnętrzną nabożeństwa i świątynie katolickie — tak, że pierwsi misjonarze, uderzeni tem podobieństwem, uważali w tem jakieś szatańskie wykrzywianie swej religji. Czasem używają piszczeli świętych mężów do trąb, czaszek na miseczki do zbierania jałmużny—nie brak wogóle ekstrawagancji, mogących wywierać silne wrażenie na tłumach. Dodajmy do tego sprzedaż tysięcznych amuletów cudownych i różańców na korzyść klasztoru — a stanie nam przed oczyma cała organizacja teokratyczna, żądna władzy i ciągnąca z niej zyski. Chciwość lamów bywa czasem tak wielka, że się aż władza chińska wdawać musi w sprawy między wyznawcą a lamą, tym, jak go zowie, „szalbierskim szerszeniem, który rabuje pasieki pszczół".

zaś, który ucieka i oficerów nie słucha, strąconym będzie do piekła. Pod rozkazami Tajpingwanga jest pięciu wicekrólów—poza nimi nie ma żadnych proroków i kapłanów. Aktem przyjęcia do wyznawców „czcieli Boga", jest chrzest — pozatem nie istnieją inne sakramenta. Dziesięć przykazań Bożych przyjmuje religja tajpingów i nakazuje surowe ich przestrzeganie. Palenie opium zagrożone jest karą śmierci; gra hazardowa, tytoń i wino jest zabronione. Dniem świętym w tygodniu jest sobota; w dniu tym zbierali się czciciele Boga, aby śpiewać, modlić się i składać ofiary—prorocy zaś kazali.

Tak wyglądała mniej więcej ta nowa religja i to nowe królestwo, które wśród bezustannych walk i zwycięstw zdołało się przez 10 lat utrzymać. Lecz powodzenie zawróciło głowę zwycięzcy. Królując w Nankinie, otaczał się coraz większym zbytkiem i przepychem i tracił hart ducha. Wśród wodzów jego poczęły się kłótnie, do armji wkradł się nieład, a na dobitkę wmieszali się do walk i anglicy, wezwani o pomoc przed rząd chiński, bo i dla nich król tajpingów zaczął być niewygodnym. W obec broni europejskiej i niekarności wewnętrznej zachwiało się wszystko a wreszcie i runęło.

Wzmocnione i zwycięskie tym razem wojska cesarskie, zdobywszy Han-kou i Czang-czu, pomimo zaściekłej obrony tajpingów, stanęły w czerwcu 1864 r. pod murami Nankinu. Oblężenie i fanatyczna obrona tajpingów trwały do 19 lipca 1864 r., w którym to dniu wtargnęły nareszcie wojska tatarskie do miasta przez wyłomy, wybite kulami armatniemi w olbrzymich murach obronnych.

Straszne są opisy tego zwycięstwa. Około sto tysięcy ludzi zamordowano w najokropniejszy sposób w ciągu trzech dni. Ciała pomordowanych, leżąc niepogrzebione, zapowietrzyły miasto i dalsze tysiące ludzi zginęło od zarazy. Budynki palono, rozwalano, niszczono z przerażającą dzikością— całe dzielnice miasta broniącego się zrównano z ziemią. Na pierwszą zaraz wieść, że nieprzyjaciel wdziera się przez mury, rozkazał na pół szalony Tajpingwang podusić swoje żony i sam się otruł. Wierni mu wodzowie okrzyknęli natychmiast kilkonastoletniego syna jego królem, ale gdy padli w walce, dostał się i on do rąk zwycięzców i oddał głowę pod miecz. Nie przebaczono nawet szczątkom nieszczęśliwego Tajpingwanga; wydobyto je z grobu, poćwiertowano, porzucono psom na pożarcie, głowę zaś

obnoszono z tryumfem po mieście i w poskromionych prowincjach.

Tak się skończyła ta najstraszniejsza może i najkrwawsza z rewolucji. Smutnym jej pomnikiem został zniszczony Nankin, który do tej pory podnieść się nie zdołał i daje zawsze obraz okropnej ruiny. Z ludności niegdyś miljonowej, liczy dziś w tabelach statystycznych 500.000; chińczycy wszakże obniżają tę cyfrę do połowy, a na podróżniku Hesse-Warteggu, który Nankin przed niewielu laty zwiedzał, wywarło zniszczone miasto takie wrażenie, jak gdyby w niem nie było więcej nad sto tysięcy mieszkańców,

Na ogromnej przestrzeni, otoczonej murem zewnętrznym, którego długość dochodzi do 56 kilometrów, wrzało tu niegdyś ruchliwem życiem największe miasto, do końca XIV wieku stolica Chin i siedziba cesarzy z dynastji Mingów. Rozsławiła się ona po całym świecie swym przemysłem bawełnianym, a zwłaszcza wyrobem surowych, żółtawych tkanin, które nosiły nazwę „nankinu". Jak o cudzie jakim rozpowiadano sobie także o wieży porcelanowej w Nankinie, która miała dziewięć pięter, każde z pięknemi, wygiętemi okapami dachowemi i dzwonkami i mierzyła 66 metrów. Rozsypała się ona w gruzy wraz z pałacami cesarskiemi i pagodami w czasie wojen tajpingów—

i dzisiaj $^4/_5$ dawnego obszaru zabudowanego to pola, uprawiane pod ryż i jęczmień, albo pustki zarosłe krzewami i zielskiem, na których się pasą osły. Zaledwo $^1/_5$ część została z dawnych gruzów odbudowana, a że budynki są świeże i szersze między nimi porobiono ulice, więc są czyściejsze i mają lepszy wygląd od innych brudnych miast chińskich.

„Nankin nie istnieje więcej — pisał przed niewielu laty Hesse-Wartegg — starto go na proch w czasie rewolucji, zmieciono z ziemi, tak, jak się kurz ze źwierciadła zmiata. Żadne trzęsienie ziemi, żaden pożar, żaden wylew nie mógłby nic gorszego zrobić nad to, co zdziałała ręka ludzka w szale rewolucji".

Dziś powracają wolno do życia dawne gałęzie przemysłu: tkactwo bawełniane, tkactwo jedwabne, wyrób porcelany. Poza murami miasta wystawiono duży arsenał. Jest nawet straszna z pozoru forteca, na której jednak strzelnica i działa są tylko... malowane, bo wewnątrz ćwiczą się żołnierze zbrojni dzidami i łukami — a w pewnej tylko części bronią palną. Naprawione po wojnie mury obwodowe, niesłychanej grubości i wysokości, z ciosów kamiennych, są jedyne w swoim rodzaju. Liczą, że mieści się w nich 7 miljonów metrów kubicznych mu-

ru, a 30 miljonów metrów kubicznych ziemi, czyli szesnaście razy więcej, niż w największej piramidzie egipskiej. Ileż to tysięcy ludzi i ile lat pracowało nad ich wzniesieniem!

Największą dziś w Nankinie osobliwością, prócz murów, jest jeszcze położone za murami mauzoleum cesarzy z dynastji Ming, Jest to świątynia, otoczona murem z czerwonej cegły na tle ciemnego, lesistego pagórka. Poza świątynią ciągnie się szeroka aleja, utworzona w jednej części z olbrzymich figur kamiennych, posągów dawnych cesarzy, w drugiej—równie olbrzymiemi postaciami słoni, tapirów, wielbłądów i koni obrzeżona.

Tu spoczywają potężni Mingowie. A słonie ich kamienne służą dziś jeszcze do dziwacznych wyroczni. Świeżo zaślubiona para małżeńska wędruje do nich i rzuca im kamyczki na grzbiet. Gdy kamyczek na grzbiecie zostanie—będzie syn, gdy spadnie—będzie córka. To także po chińsku...

Koniec Części I-ej.

SPIS RZECZY.